

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



PRZENAJSWIĘTZA RODZINA,

POGA WĘDKA.

Ależ to ten czas pędzi, jakgdyby sobie nowe skrzydła sprawił; dopiero co się rok zaczął, już się kończy,—dopiero co kwitły po raz wtóry kaształy na skwerach, już zima mrozem dmucha i już mieliśmy śnieżycę, że pociągi utykały po drodze, już lodowe szyby powprawiał mróz na szawach i stawach, aby miała gdzie ochocza młodzież uprawiać swój sport łyżwowy.

Pojutrze wilia, za tydzień nowy rok, za dwa karnawał, a za ośm popielec.

Boże, jak ten czas pędzi!...

Dla smutnych, chorych i leniwych wlecze się tylko żółtym krokiem i przystaje po drodze, dla szczęśliwych lub zapracowanych umyka, jak jelen.

Że należę do drugich, tego najbrzydszy dowód złożyłem w stosunku moim do *Bluszcza*, przez tyle tygodni nie mogąc się zdobyć na felieton, który przez lat kilkanaście regularnie (nawet podczas grypy) musiał w swoich terminach ukazywać się w tem miejscu.

A teraz po raz pierwszy zaniedbałem się tak bardzo, że mi aż wstyd podpisywać się pod Pogawędką.

Z tygodnia na tydzień zwlekało się i zwlekało, bo dobrej woli nie brakło, tylko wolnej chwili i aż do dzisiaj się zwlekało na sam koniec roku.

Zły to kronikarz, co obowiązków swoich nie wypełnia i jako redaktor dałbym mu wcześniej dymissyą, niżby sam jej zażądał, ale redakcyja „*Bluszcza*“ niezastępowalną względem mnie okazuje cierpliwość, więc przyrzając jej to publicznie, przepraszam was czytelnicy łaskawi za zaniedbanie rubryki, które było wyłącznie tylko moją winą.

Na moje szczęście, w ostatnich kilku tygodniach żadnych nadzwyczajnych wydarzeń nie przyniosły losy; nawet cholera przykucnęła i tylko od czasu do czasu kłapnie gdzieś głodnymi zębami, jakby dla pogroźki i ostrzeżenia, że pomimo zimy, śniegu i mrozów siedzi u nas i nie ma ochoty wyruszyć aż do wiosny.

Spokorniała znacznie, to prawda, wlaźła pod zimowy kożuch i czeka cieplejszej pory, roztopów, słońca wiosennego, aby znów wyskoczyć i broić.

To taki gość, którego nie łatwo się ze wszystkim pozbyć, który lubi naumyślnie powracać, pożegnany trzema krzyżkami i wykurzony z domu święconym zielem.

W Hamburgu np. znów zaczęły się wydarzenia sporadyczne wypadki, które zaniepokoiły władze sanitarne i mieszkańców tak srodze uciskanych przez epidemię przed kilku miesiącami.

U nas biuletyny również wspominają ciągle jeszcze o pojedynczych zachorzeniach w Warszawie i na prowincyi, co wszystko powinno skłaniać do ostrożności i pamiętania o jutrze.

Zawiązał się komitet z zamożniejszych i wpływowych osobistości miejskich, który ma przez zimę czuwać nad gromadzeniem i zastosowaniem środków wytepienia zupełnego, a przynajmniej ograniczenia na przyszłość epidemii.

Komitet ten z celem sanitarno-filantropijnym gromadzi fundusze, które mają posłużyć na zakładanie przytułków, podawanie wsparcia i wspomaganie ubogiej ludności, narażonej najbardziej na złe skutki chłódów i głodów zimowych, będących wielkimi sprzymierzeńcami cholery.

Dotąd to zbiorowe ciało rozważało dopiero swe obowiązki i zadania, zbierało składki i podzieliło się na sekcye; po świętach zapewne działać rozpocznie, aby z dwumiesięcznego namysłu ód czasu swego istnienia, urodzić jakiś widomy czyn antycholeryczny.

Przynaję, iż nie jest to wcale przyjemny temat, od którego moję pogawędkę zaczynam, ale obowiązek każe budzić śpiących, którzy czuwać mają na straży dobra publicznego i ostrzegać o niebezpieczeństwie możliwym.

Zresztą, nie zatrzymuję się nad nim dłużej, dodawszy tylko przypomnienie, iż następcza się właśnie najlepsza sposobność z powodu „gwiazdki“

do spełniania obowiązków miłosierdzia w celach publicznej przezorności, co ma znaczyć: pamiętajcie o ubogich, nędzarzach, o opuszczonych, nie pozwólcie im w imię Chrystusa i — w imię higieny, cierpieć głodu i drzeć od zimna!..

Nie wiem, czy w zrozumieniu tych celów, czy z jakich innych względów, publiczność warszawska szczególnie poparła tegoroczny „Jarmark“ na Dobroczynność, urządzony staraniem Wincetego i Maryi hr. Wałęwskich w salonach Resursy obywatelskiej.

Zdawało się z początku, że żadna zawsze nowośći Warszawa, nie da się tak tłumnie zwać na jarmark, który swojego czasu nazywał się kermaszem, a innym razem wentą, a jeszcze kiedy indziej Bazarem; tymczasem powiodło się nadspodziewanie, dochód wyniósł około 6.000 rs., i ten pocziwy ludek przyszedł zobaczyć po raz dziesiąty to samo, co widział tyle razy, obejrzeć namioty z nadobnymi kupcowymi, sięgać do koszyków szczęścia, podziwiać choinkę, słuchać amatorskich popisów na estradzie i kupować „bez karoty“ z dodatkami rozmaite potrzebne i niepotrzebne rzeczy na jarmarku.

Wszystko jedno; stara piosenka na nową nutę zrobiła swoje i dowiodła, że byle się zabrać energicznie i sprytnie do czego, można mieć powodzenie.

U nas pomysłowej inicjatywy w takich razach brak; program owych publicznych środków godziwego wyzyskiwania ofiarności lub ciekawości tłumów, żadnych wrażeń, jest dość ograniczony. Koncert, rauty, teatr amatorski lub odczyty, — oto wszystko; ale i w tem bywa pewien szablon, bardzo rzadko i bardzo mało urozmaicany.

Nie wiem, co tam za niespodzianki przyniesie karnawał przyszły; wiem tylko, że jest krótki i kusy, bo zaledwie pięć tygodni żywota liczyć będzie, ale za to na post ma się wysypać cały róg obfitości odczytów na Osady rolne, Towarzystwo Dobroczynności i szpital homeopatyczny.

Tego ostatniego celu jeszcze niema *de facto*, ale wyznawcy leczniczej metody Hahnemanna dążą do jego urzeczywistnienia.

Przeczytałem broszurkę D-ra Drzewieckiego, który sprzeniewierzył się alopatyi dla homeopatyi i jestem teraz w usposobieniu pana Bonifacego z „*Consilium facultatis*“; nie wiedząc, której medycynie więcej dowierzać, gotów byłbym w danym razie połkać miksury alopatów i pigułki homeopatów, byłem tylko wyzdrowiał.

Skoro i to leczy, i tamto pomaga, wybór zależy od dobrej wiary i zaufania pacjenta.

— Wszystko mi jedno na co umrę, — mówił jakiś dowcipniś — byłem nie umarł przed czasem.

Zdanie to każdy z nas mógłby sparafrazować w ten sposób:

— Wszystko mi jedno, co mnie wyleczy, byłem przestał chorować.

Panowie lekarze niech się o to spierają, czy *similia similibus curantur*, czy przecinki Kocha są przyczyną cholery, jak utrzymuje ich odkrywca, czy też nie są wcale, jak twierdzi Pettenkofer, który je zjadał na dowód, że nie są szkodliwe, — wszystko mi jedno, byle środki zadawane przez panów Eskulapów skutkowały.

Jeżeli mam prawdę powiedzieć, najlepiejby było, abyśmy mogli obchodzić się bez szpitali i doktorów, jakkolwiek po większej części bywają to ludzie bardzo przyjemni i intelligentni, których osobiste przymioty towarzyskie warte są nieraz podwójnej dyety, jaką biorą za wizytę u chorego.

Niestety, owych błogosławionych czasów, w których będziemy się mogli leczyć sami, pomagając tylko naturze, nie pozwoli nam dożyć nauka medycyny, wynajdująca coraz to inne przyczyny chorób i coraz to inne na nie lekarstwa.

Dajmy zatem pokój i temu tematowi, który psuje humor przed najweselszymi świętami w roku.

Zwróćmy oczy ku świątyni śmiechu i miłych wrażeń, ku teatrowi, w którym ostatnimi czasy Melpomena, Thalia, Euterpe i Terpsychora święciły rozmaite większe i mniejsze tryumfy.

Na brak nowości i niespodzianek nie-mogą się teraz nasi teatromani uskarżać, chociażby byli mantykami i śledziennikami z urodzenia.

Opera warszawska wyprzedza dziś nawet inne europejskie sceny, a przynajmniej idzie z niemi równym krokiem; od czasu wystawienia „*Cavalerii*“ Mascagniego, pierwsza sprowadziła na swoje deski „*Pajaców*“ Leoncavalla, który jako librecista i kompozytor w jednej osobie poważną konkurencyą robić zaczyna przesławionemu pupilowi medolańskiego wydawcy Sonzogna, zyskując rozgłos wyższego nawet talentu nad twórcą „*Rycerskości*“ i „*Przyjaciela Frycy*“, którego również mieliśmy sposobność już poznać z naszej sceny — przed kilku dniami.

Mijają te czasy, kiedy najświeższe nowości dostawały się do repertuaru naszej opery za ledwie po latach kilkunastu.

Rozmaitość ożywiła się też niezwykle, dzięki konkursowi dramatycznemu, ogłoszonemu przez redakcyję „*Kuryera Warszawskiego*“, ponieważ cyfry bywają najwymowniejsze, zaznaczmy, iż kilkanaście przedstawień dwóch sztuk, zaleconych szczególnie do grania przez komitet sędziów przyniosło przeszło 25.000 rs. dochodu, wrażliwej na takie summy kassie teatralnej.

Nie zastanawiam się nad literackim, moralnym, ideowym, czy jakim innym nabytkiem konkursowym, stwierdzam tylko, że cel przysporzenia repertuarowi utworów pociągających został w zupełności osiągnięty.

„*Nauczycielka*“ i „*Flirt*“ wypełniały teatr i długo jeszcze zapewne nie zejda z afisza, budząc interes publiczności.

Dyrekcya w niezwykle uroczysty sposób urządziła po raz pierwszy u nas praktykowane ogłoszenie ze sceny laureatów, których nazwiska uwieńczyły ostatecznie konkurs po wystawieniu w poniedziałek i środę sztuk odznaczonych.

Wobec publiczności otworzono zaklejone koperty i okazało się, iż autorem „*Nauczycielki*“, obdarzonej drugą nagrodą w kwocie rs. 500, oprócz honorarium i tantiemy ze strony teatru, jest Władysław hr. Koziembrodzki; zaś „*Flirtu*“, drugą zaszczytną wzmianką zaleconego scenie, Michał Bałucki; temu ostatniemu zaś redakcyja „*Kuryera*“ z własnych funduszy w dowód uznania dopłaciła rs. 500.

Pierwsze odznaczenie bez pieniężnej nagrody otrzymała sztuka p. t. „*Jakób Warka*“, której autorem okazał się p. Daniel Zgliński (Freudenson), także nie nowicysz na niwie pisarskiej, bo twórca kilku tragedij („*Ricardo*“, „*Tomasso Valle*“), wielu artykułów po pismach peryodycznych, cennej rozprawy o „*Humorze w Panu Tadeuszu*“ i innych.

Dramat jego ostatni nie zdążył jeszcze wejść na scenę razem z „*Nauczycielką*“ i „*Flirtem*“, ale przeznaczony do grania, ukaże się dopiero później.

Nie wspominałem tu o mniej fortunnym wyborze „*Szarego życia*“, które jako pierwszocina twórczych ambicji i „*próba pióra*“ dobrego oraz atramentu czarnego“, zablakowała się na konkurs i na scenę; nieznany autor odpokutował ten debiut pod osłoną anonimu w sposób bardzo dotkliwy dla jego miłości własnej i chyba pióro komedyopisarza zużytkuje nadal na wykałaczkę do zębów, albo też nie odważy się powtórnie wystąpić przed pełną dojrzałością na widownię publiczną.

Z trzydziestu kilku tedy sztuk konkursowych; za ledwie dziesiątą część utrzymała się przy współzawodnictwie i tej jeszcze nie uznano godną pierwszej nagrody, która nie udzielona nikomu stanowiła ma fundusz zakładowy nowego konkursu dramatycznego na rok przyszły.

Talentów nowych nie wyprowadził ów pisarski turniej na twórczą arenę, ale przyniósł ten pożytek, iż pobudził doświadczeńsze, starsze i już trochę ociężałe siły do nowej energii.

Koziembrodzki od dłuższego czasu milezał, zajęty innemi sprawami, nie literaturą; od czasu do czasu rzucił z pod pióra jakąś jednoaktówkę, drobniak w rodzaju „*Reprezentant domu Miller i Sp.*“, lub „*Zazdrośnych*“, w których nawet trudno było poznać autora „*Celiny*“, „*Zawieruchy*“, „*Stryj przyjechał*“, a zwłaszcza „*Hrabiego Maryana*“ lub „*Po śliskiej drodze*“.

Zdawało się, że się wypisał, że odwykł od pióra, aż tu nagle zaprzecza temu najzupełniej sztuką dużą czteroaktową, szlachetnie odczuta z ży-

cia i z wielką miarą a subtelnością cieniowaniem figur głównych i sytuacji, napisana na konkurs.

Bałucki — co innego: tego twórczości pobudzać nie potrzeba było, ten nie lubi nigdy długo odpoczywać na laurach, ale i na niego długo oddziaływał konkurs, ożywił jego humor, zaostrił dowcip i zachęcił do napisania „Flirtu“, w którym co prawda urodzony komedyopisarz nie mógł co do pomysłu pogodzić się z poważnym dramaturgiem i jeden drugiemu popsuł robotę; ale bądź co bądź, przybyła do repertuaru oryginalnego sztuka szczerze zabawna i posiadająca wiele wybornych warunków scenicznych.

Jakim będzie „Jakób Warka“, trudno uprzedzić, nie znając ze sztuki nic więcej, oprócz tytułu.

Wbrew zdaniu tych wszystkich, którzy utrzymują, że konkursu żadnego pożytku nie przynosi, że tworzą tylko przereklamowane wielkości i zkwazowanych malkotentów, można jednak wskazać sporo dzieł, które z konkursowego plonu jeśli nie bardzo wysoko i bujnie wyrosły, to jednak na scenie, i w literaturze, i w sztuce poważne zajęły miejsce.

Z tego względu spodziewam się też, że i konkurs artystyczny „Tygodnika ilustrowanego“, ogłoszony na obraz olejny, pastel lub akwarelę z nagrodą rs. 500 i na rysunek dowolnej treści z nagrodą rs. 100, przyniesie nie tylko obfity ale i dla sztuki dodatni wynik.

Wszystkie prace konkursowe zostaną pomieszczone na wystawie Towarzystwa zachęty w Maju przyszłego roku, następnie reprodukowane w „Tygodniku“, a plebiscyt publiczny orzeknie przez głosy składane w „Salonie“ i nadesłane do redakcyi, kogo *vox populi* uzna godnym wieńca z laurów i tęczówek.

Dotychczas zdarzało się, że ten głos ogółu, choć nie z samych przysięgłych znawców złożony, nie mylił się, prawdziwego talentu nie pokrzywdził i sztuce ujmę nie przyniósł; często nawet zdrowy instynkt publiczności i jej wrodzony zmysł estetyczny sprawiedliwszy od fachowej krytyki wydawał wyrok.

W każdym razie, nie przesadzając ostatecznego wyniku w tym nowym konkursie, który ogłasza „Tygodnik ilustrowany“ w poczuciu obowiązków swoich, jako jedynego organu, poważnie sztuce obok literatury u nas służącego, życzyć należy, aby ożywił, rozruszał, natchnął naszych malarzy i rysowników do twórczości i pracy wyjątkowej, godnej i ich talentu, i celu artystycznego.

Zresztą poza ambicją stworzenia czegoś lepszego od innych, co pozyskać ma publiczne uznanie i dać rozgłos, nie do pogardzenia czynnikiem jest i materyjalny interes w tym wypadku.

Pięćset rubli za dobry obraz, portret, czy akwarelę, które zostają własnością malarza, a sto rubelków za rysunek, oprócz wynagrodzenia za prawo reprodukcji w dużych rozmiarach uwiecznionej pracy na kartach „Tygodnika“, to rzecz warta zachodu w czasach, w których mecenasów sztuki nie spotyka się tak łatwo ani tak często.

— Mój panie, — skarżył się przedemną jeden z naszych *kunsthändlerów*, utrzymujących wystawę sztuki — już dalibóg nie wiem, co robić z temi obrazami i z tą publicznością. Dawniej jeszcze przychodziła przynajmniej obojętne wystawę; — kiedy się jej co podobalo, to choć nie wystawę, potargowała się a nieraz wzięła, żal się Boże, na raty. Ale odkąd zaczęli jej w głowie przewracać, że ta sztuka to nic nie warta, że u nas nikt malować dobrze nie umie, że się nikt na obrazach nie zna, że to właśnie jest ładne, co się nikomu nie podoba, tylko samym artystom, przestano nie tylko kupować, ale i przychodzić na wystawę. Bo i po co? skoro krytyka wszystko rżnie, a kiedy co półgębkiem pochwali, to znowu ją zerzną za to, że się nie zna, no i bałamuci ludzi. Artyści sami, aby ich nie posadzono, że nowych kierunków nie znają, że się z nową krytyką nie liczą; tworzą rzeczy, które nie leżą w ich talencie, albo do których nie posiadają dostatecznej techniki, unikają jak ognia tematów „literackich“ i malują obrazy, które nikogo nie zajmują, nie budzą interesu i nie przyciągają. I cóż z tego?... nie ma pożytku ani sztuka, ani artyści, ani publiczność, ani ja.

Mówił to z miną człowieka, który żałuje, że zamiast galerii obrazów, nie stworzył kramiku z płóciennymi na lokcie, a chociaż pretensje jego do krytyki są może za bardzo krańcowe, jednak nie można im odmówić podstawy.

Owe polemiki, swary, dyskusje, jakie w ostatnich czasach toczyły się u nas w druku, nikogo niczego nie nauczyły, nie przekonały, kwestyi nie rozstrzygnęły, a na publiczność oddziaływały demoralizująco w chwili, w której zaczęło się rozbudzać w szerszych kołach zamiłowanie do sztuki i pewna skłonność estetyczna do zajmowania się jej twórczością.

Nie powiem, żeby krytyka ten instynkt zatłumiła, ale przytłumiła go z pewnością i ośłodziła zapach, jaki stara szkoła, poprzednie pokolenie artystów wielkich i talentów niepospolitych roznieciło.

Przechwalać nie należy, ale i przesadzać w krytyce i naganie także niebezpiecznie, bo można minąć się z celem i więcej szkody, niż pożytku przynieść celowi, o który niby to walczy się wszelkimi siłami i najostrejszą stalówką.

Zdarza się często, że oskubując przywidłe lub brzydzące listki z kwiatu, oskubie się cały kwiatek i pozostawi... tylko szypułkę obnażoną z liści.

U nas tak rzadko można spotkać umiętny krytycyzm, z wykształceniem fachowym, z bezstronnością przedmiotową, z poszanowaniem swego powołania w jednej osobie; nie dziwnego też, że taki wyjątek budzi cześć i uznanie ogólne wszystkich stronnictw, bez względu na kierunki i przekonania.

Do takich wyjątków w naszym piśmiennictwie należy Piotr Chmielowski, krytyk, badacz i historyk literatury, autor wielu dzieł niepospolitej wartości, redaktor „Ateneum“, człowiek zacnego charakteru i niestrudzonej pracy, o którego znaczeniu i zasługach rozpisywał się już kto inny w *Bluszczu*; w roku bieżącym przypadł 25-letni jubileusz literackiej działalności Chmielowskiego, więc dawni kolledzy, przyjaciele, towarzysze zawodu, uczęci skromnie ale wymownie zamknięty okres ówczesnego jubilat, życząc mu, aby w pełni sił pracował dla swojej chlubny i dla pożytku literatury w jak najdłuższe czasy, otoczony tym samym szacunkiem i uznaniem, jakie zdobył sobie i pozyskać dotąd potrafił.

Księgarze warszawscy, ofiarowali Chmielowskiemu wieniec srebrny.

Mało kto zasłużył tak ucześciwie i tak poważnie na jubileuszowe hołdy, jak autor „Adama Mickiewicza“, „Naszych powieściopisarzy“, „J. I. Krąszewskiego“, „Zarysu literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu“ i tylu innych studyów, szkiców, rozpraw i artykułów krytycznych.

A teraz, kiedy ważniejsze tematy wyczerpał w tygodniu przedświątecznym, odkładam pióro, biorę do rąk opłatek i idę dzielić się z wami tym symbolem chleba, który, oby zdrowia i sił dla ciała i duszy dał nam wszystkim, nam i dziatkom naszym, co z kolendową pieśnią podniosą oczęta w niebo, szukając gwiazdki Betleemskiej i słuchać będą, czy anioły w górze nie wtórzą ludzkim sercom, na nutę: *Gloria in excelsis Deo!*...

Pokoju, wesela, światła w duszach i domach waszych, życzę wam z całego serca...

Quis.

NARADY PEDAGOGICZNE.

Każda matka pragnie dziecko swoje dobrze wychować; każda niemal ma przed oczyma jakiś ideał szlachetnego, szczęśliwego istnienia człowieka wśród ludzkości, oile też umie i może, dążąc do tego celu z usilnością największą, nie licząc trudów i ofiar ponoszonych. Było tak od wieków i będzie zawsze, bo Bóg wlał ten instynkt w serce kobiety, i brakuje go tylko egoistce, która siebie jedynie kochać jest zdolna. Ale chcieć a móżdż to dwie różne między sobą rzeczy, i kobieta, której danem zostało szczęście

macierzyństwa, powinna zastanawiać się nad środkami spełnienia obowiązku swego — powinna wyrobić sobie pewne pojęcia pedagogiczne, które byłyby zasadą jej postępowania: Wśród tylu nauk, które obecnie szkoły wyższe dają kobiecie, nauka wychowania powinna mieć miejsce nieposłednie, bo dałoby to podstawę dobrą przyszłości — dałoby zrozumienie tego wielkiego obowiązku, który czeka niemal każdą kobietę. Piszą się też dzieła o wychowaniu, odbywają się, w Niemczech szczególnie, narady nauczycieli, które zwykle bywają potem ogłaszane w czasopiśmie pedagogicznych, rozszerzając wiedzę dobrych metod postępowania z dzieckiem — wyrabiania charakterów, szczepienia cnót, uszlachetniających człowieka i prostujących ścieżki jego życia, na których spotkać musi każdy nie jeden kamień ostry a nieraz i przepaść, w której ginie dla szczęścia i dobra.

Niemcy, o których powiedziano, że w smutnej dla Francji wojnie zwyciężył nie żołnierz, ale pedagog — ten, który wnosił w umysły światło, szczepił w dusze poczucie obowiązku, życie podnosił w celach jego i pragnieniach ponad użycie jedynie, wytworzyli sobie instytucję pedagogiczną z odczytów a szczególnie z konferencji nauczycieli, w których traktują się różne kwestie nauczania w metodach rozmaitych. Co tu rozbieżano, co tu dowodzono w 1889, 1890 i 1891 r., zostało zebrane razem, wytworząc książkę wielce pożyteczną, bo przedstawiającą ruch idei pedagogicznej w tym okresie czasu, a rzecz nie ograniczyła się tu do mężczyzn samych. Nauczycielki wytworzyły też sobie podobny środek rozjaśniania pojęć pedagogicznych i można powiedzieć, że traktowały rzecz poważnie i nie powierzchownie, stawiając również jak i mężczyzna edukacyjne znaczenie nauki na pierwszym miejscu, co dla całokształtu wychowania ma znaczenie wielkie, a skoro tylko nauczający tak rzecz pojmuje, już nauka spełnia cel swój najwyższy: umoralnia, uszlachetnia człowieka, daje ramionom jego te skrzydła archanioła, które niosą go przez życie, nie dając mu dotknąć się ziemskiego błota, a jest też to najwyższą misją nauki, aby podnosiła nas nad małości i nędzę poziomego istnienia tuż przy ziemi. Dobrze też wyraził się mówca na jednej z takich konferencji w 1889 roku, że „szkoła nie osiągnęłaby nigdy celu swego oświecania umysłów ludzkich, gdyby była jedynie instytucją dającą wiedzę naukową“. „Szkoły obowiązkiem jest nie tylko nauczać ale i podnosić umysły młodzieży, bo wtedy tylko kształcą się charaktery“, dowodził inny prelegent w tym samym roku w Halberstadt. I tak dalej w tem zrozumieniu rzeczy ciągnęły się przestrogi te, wskazujące prawdziwą w stosunku do życia ludzkiego misją nauki. „Powinniśmy starać się, aby rozwój wszystkich zdolności nauczanej młodzieży dokonywał się harmonijnie, aby to było wychowywaniem naukowym (erziehend unterrichten), gdyż szkoła powinna być zakładem wychowawczym, ponieważ nauka kształci w dziecku człowieka i staje się fundamentem szlachetności jego charakteru (Marburg w 1889 r.).

Cytaty te nie potrzebują już objaśnień i nie mogą wywołać dyskusji żadnej, bo człowiek dla tego się uczy, aby szerszy krąg wiedzy dał mu i szerszy pogląd na życie, na życia tego sprawy. Według Kanta zadaniem wychowania jest przede wszystkim rozwinąć w istocie młodej wszystkie dane jej przez naturę zdolności i przymioty. Ideały ludzkie nie pozostają nigdy w martwym zastoju, i jak mówi poeta: „Każda epoka ma swe własne cele“ i to jest ów postęp, który się ciągle spełnia wśród ludzkości, potrzeba tylko, aby człowiek celów tych swoich nie stawiał nisko, nie mieścił je ciasno tuż obok siebie — aby horyzonty jego widzenia nie były zacieśnione, to jest też przede wszystkim wychowania obowiązkiem świętym, aby uczyło czuć i myśleć podniosłe, aby nie dopuściło zatopienia się istoty młodej w miłości własnej, w poziomym, lichym egoizmie. Skoro tylko tego nie będzie, człowiek potrafi zawsze obowiązki swoje w zakresie danych mu sił uczciwie spełnić, bo nie zasklepi się w sobie i dla swojego ja wyłącznie żyć nie będzie. Wychowanie

wawcy, nauczyciele znać powinni środki działania, jakich tu użyć należy, aby tak się nie stało, przedewszystkiem przecież potrzeba, aby rodzice: tak ojciec jak matka, stawili to sobie za pierwszy i najważniejszy cel wychowania. Ojcu należy wyrobić w istocie młodej hart ducha, gdy zadaniem matki jest wypłasić w niej tliwość uczucia, zdolność poświęcenia, a razem trzeba obojgu dać dziecku swemu jasny i szlachetny pogląd na życie—na jego sprawy i cele.

Na kongresie pedagogów w Brunswiku w 1890 roku, uchwalonem zostało takie dla rodziców i wychowawców prawo: „Pedagogia nowoczesna stawia to sobie za zadanie szczególne, aby kształcenie człowieka dokonywało się harmonijnie i zgodnie z jego naturą: aby wzmagalo polot jego myśli, rozwijało władzę sądu, wyrabiało moc charakteru, utwierdzało siłę woli. Niech rozbudzi ono w dziecku zdolność pocucia ideału, niech nie zmiażdży jego indywidualności, niech wytworzy w niem pobożność — prawdziwą, żywą pobożność, nie opartą na formułkach form pewnych, niech mu da gorącą miłość ogółu swojego a utoruje mu drogę życia prostą i w dół istnienia nie wiodącą“.

Charakterystycznym rysem wszystkich uchwał i postanowień kongressu jest to, aby indywidualność człowieka była w dziecku uszanowana, aby nie było ono traktowanem jak rzecz jakaś: istota bierna, a wychowawca nie występował jak pan samowładny. Uczynić z dziecka istotę, która ma czuć i myśleć samodzielnie—to było jakoby pierwszą i najważniejszą myślą kongressu. W ciągu obrad odzywały się też za przyjęciem tej rezolucyi głosy liczne, kładąc na to nacisk silny, aby nauka szkolna — szkoła mieściła we wpływach swoich przymioty wychowawcze. Godne też są uwagi zdania wychodzące z rąk członków kongressu i to nie grupy pewnej, ale wszystkich wybitniejszych jej przedstawicieli.

— Celem karności szkolnej, uważanej za środek edukacyjny jest tak wychowywać dziecko, aby stać się mogło użytecznym członkiem społeczności swojej—dowodził nauczyciel z Putlitz — Edukacya powinna uchronić dziecko przed wpływami błędów nauki rozszerzającego się w czasach naszych naturalizmu, racjonalizmu—odzywa się nauczyciel z Graudenz. — Dziecko należy wychowywać z myślą jego przeznaczeń nie tylko ziemskich, bo ma ono w sobie nieśmiertelnego ducha, o czem wychowanie nigdy zapominać nie może.

Wychowanie powinno używać wszelkich środków rozwijania cnót dziecka, ale zarazem należy mu nieraz wywierać repressyę, wśród której panować musi karność surowa i odzywały się też głosy dowodzące, że skoro ujawnia się w dziecku skłonności brutalne, pogarda cnoty, pragnienie używania za jaką bądź cenę, należy wychowawcy ująć surowo istotę młodą i zwalczać zło zarodki wszelkimi środkami. Nauczyciel z Soest wykazuje też potrzeby w takim wypadku kary cielesnej, głosi że zatem nauczyciel z Putlitz, dowodząc, że uparte непослушество, zuchwałe lekceważenie obowiązków przedstawia siłę charakteru ujemną, którą wychowanie musi złamać w jakikolwiek sposób, bo inaczej nie było by ono tem, czem być powinno, gdyby pozwoliło rozwielić się w istocie młodym siłom złym. Nauczyciel z Soest potwierdza to zdanie; nauczyciel z Bremy dodaje: „Jakkolwiek kara cielesna—różga, nie czyni nigdy ludzi moralnie dobrzy, może przecież powstrzymać ich od złego, a wtedy wpływy wychowania uszlachetniające powinny znaleźć sobie sposób oddziaływania na moralną stronę dziecka—dać mu przyzwyczajenia uczciwe, włożyć je do tego, aby widziało w cnocie, w uczciwości drogę, jedynie wiodącą do celu życia, któreby dawało wraz ze spełnionym obowiązkiem zadowolenie najwyższych potrzeb ducha ludzkiego, bo miłość i szacunek jego bliźnich.“

Nauczyciele niemieccy nie uważają przecież kary cielesnej za ogólny środek karności wychowawczej, zwłaszcza u dzieci starszych, bo tu już można a nawet należy działać na rozum, działać na serce; jakkolwiek są i tu szkopy, na które wychowawcy powinni zważać bardzo. Zarzucają szczególnie kobietom, matkom zwłaszcza, że żądając od dzieci posłuszeństwa nakazem wychowa-

wczym, odzywają się tu do nich w imię ich miłości dziecinnej, przywiązania do rodziców, co jest pewną ujmą idei obowiązku, która w wychowaniu powinna stać najwyższą, czy przeciw kara cielesna, która przedewszystkiem dotyka w dziecku jego stronę materyjalną, działa tu dodatniej, niż wtedy gdy dziecko przez uczucie przywiązania do drogiej mu istoty łamie w sobie oporność hardą?

Szlachetne hartowanie młodego ducha, wytworzenie oporności na złe przez miłość dobra jest przecież i będzie zawsze najważniejszą w działaniu tem rzeczą. Poddawanie dziecku myśli szlachetnych, przez które zwracałoby się własnowolnie w stronę dobra, brało w serce miłość cnoty, to metoda wychowania najdoskonalsza a zamyka się ona całkowicie w przykładzie. Przykład jest w wychowaniu bogdaj czy nie najważniejszą rzeczą, zarodem wrodzonych skłonności podaje on niejako rękę, lecz jeżeli rozwija dobre, rozwija i złe, daremne też są wszystkie słowa nakazów pedagogicznych, jeżeli dobry przykład nie idzie z niemi w parze i nigdy zanadto nie jest powtarzać tę prawdę wychowawcom, matkom. Ludowe przysłowie nasze: „Jaka mać, taka nać“ zamyka w sobie niemal cały system wychowania. Przykład, to nie nakaz—to działanie ducha na ducha i wychowanie na podstawie przykładu jest też najsilniej dobrem lub złem, a waga jego jeszcze się tem zwiększa, że dziecko działa tu samodzielnie, przyjmuje bowiem wpływ, który mogło by odrzucić, ale odnosi się to jedynie do dzieci tych natur najsilniejszych już, jakich jest mniej, niż więcej, a w żadnym razie nie może to przejść człowiekowi bezkarnie, jeżeli młodość jego nie miała w czasie formowania się charakteru wskazówek szlachetnego wiedzionego istnienia i daremne tu są wtedy wszystkie nauki moralne dawane dzieciom. Dodać też można, że jest to według starego przysłowia: „rzucić groch o ścianę.“

Ze tak jest, potwierdza to szlachetny i w zawoście swoim doświadczony pedagog francuzki, Greard, odzywając się do publiczności swego narodu w przemowie mianej w Paryżu przy dorocznem otwarciu nauk szkolnych: „Niema tak złego systemu edukacyi publicznej, któryby nie został ulepszonym przez wpływ rodziny, domu, tak jak niema najlepszego, któryby jeszcze coś nie zyskał“. Najważniejszą tu rzeczą jest przykład w pierwszych latach życia młodzieży — w tych latach kiedy jeszcze młodość, nie znająca życia, życia tego się uczy. Dziecko jest wtedy istotą miękką, jak wosk, i przyjmuje też odcisk wrażeń doznawanych biernie, przez co stają się one drugą naturą człowieka, jak twierdzi przysłowie nasze. Dziecko chowane od kolebki w pojęciach życia niskich, lub wyłącznie utylitarnych, rzadko, bardzo rzadko, i to tylko, gdy grunt jego istoty — duch jego jest wyższym, umysł podniosłym, zdoła się podnieść nad nędzę czysto materyjalnego istnienia, i co najwyżej cnót utylitarnych. Tylko dziecko wychowywane w otoczeniu przykładów życia szlachetnych, może potem wstępując samodzielnie na drogę życia, zawołać: — Młodości! ty nad poziomem wylatuj!..

M. I.

M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

— Cicho, cicho, — uspakaja narzeczoną, która patrzy na matkę i nie przypuszcza nawet, aby to co innego być miało, jak jeden z jej zwyczajnych

ataków sercowych; tyle już ich widziała, zna się na tych omdleniach nagłych, wie, jak sobie radzić najskuteczniej w takich razach.

Krempel widocznie innego jest zdania; rozpina szybko surdut, wyjmując pugilares z instrumentami, szuka na wiszącej półce jakiejś flaszeczki, i zabiera się jak najspieszniej do iniekcji; wydaje przytem rozmaite rozporządzenia krótko, stanowczo, jakgdyby był na klinice u siebie, nie tracąc ani chwili na próżno.

— Wody!... octu!... proszę rozcierać skronie... Eteru niema w domu?... gdzie są synopizma?...

Wzruszony jest jednak głęboko, choć usiłuje zachować zimną krew i całą równowagę, potrzebną mu jako lekarzowi.

— Niechże się pani uspokoi, panno Geniu, — dorzuca cieplejszym tonem — ręce pani tak drżą, proszę postawić świecę na krześle... To trudno... to było do przewidzenia oddawna.

Robi wszelkie usiłowania, aby omdlałą ocucić, chociaż sam nie ma już żadnej nadziei i wie, że katastrofa nastąpiła.

Za chwilę będzie musiał i tak powiedzieć prawdę, że to nie omdlenie, ale śmierć i żaden środek pobudzający nie przywróci ducha temu ciału, które zachowuje jeszcze wszelkie pozory życia tak na oko.

Pawłocka leży na fotelu z głową w tył odchyloną, ręce bezwładnie ma zwieszane poza poręcz, usta z lekka otwarte z jakimś dziwnym wyrazem, jakby bolesnego uśmiechu, powieki zamknięte, a z pod jednej sączy się jeszcze łza niewypłakana z radości; w tej łzie odbija się blask świecy, którą Genia trzyma przy twarzy matki jedną ręką a drugą podpira jej ociężałą głowę i ta łza nadaje martwej, bladej, nieruchomej twarzy ostatni uludny pozór życia.

Umarli przecież nie mogą płakać.

— Ach, panie, panie, ratuj pan mamę! — błagalnym głosem powtarza dziewczyna, — patrz pan, jak ona nie czuje. Mamusi, mamol!... zbudźże się raz, przemów co!... panie, dlaczego ona tak długo oczu nie otwiera?... co to się znać?... Mnie się zdaje, że mama nie oddycha.

Dla przekonania się przybliży płomień świecy do ust matki i po chwili z krzykiem chwytając rękę narzeczonego.

— Ależ mama chyba umarła?! — woła tak rozpaczliwie, że pewnie tam za ścianami słychać jej głos.

Krempel łagodnie odbiera jej z dygocących rąk lichtarz i stara się lekko odciągnąć ją od fotelu.

— Proszę, uspokój się pani, panno Geniu, — mówi sam zmieszany bardzo, — uspokój się pani, mama przestała cierpieć już na zawsze,

— Co?... to nie może być!... panu się zdaje tylko. Przecież Pan Bóg tegoby nie dopuścił i to w takiej chwili!..

Słowa jej więzną w gardle, wybucha płaczem i rzucając się na pierś matki, gorącemi pocałunkami okrywa jej twarz, ręce, kolana, szeptać, jak nieprzytomna, jak w gorączce:

— Matko ty moja droga, moja ty jedyna, to nie prawda, co on mówi... to nieprawda... ty się zbudzisz, ty choć na chwilę otworzysz jeszcze oczy... ty powiesz do mnie choć jedno słówko, choć się pożegnasz z nami... przecież nas tak sierot nie odejdiesz bez słowa!.. Matko, matuniu, no, zlituj się nademną, nad twoją Genią, porusz tylko usteczkami temi, co ci tak posiniały, — mateczko!... o czemu ty nie słyszysz, czemu Pan Bóg nie słucha?...!

Drzwi się otwierają i zadyszany z dziećmi wpada stary Pawłocki; sprowadzono go natychmiast, ale i tak przybył już zapóźno, aby choć stygnącą ręką uściśnąć tę, która mu była wierną i oddaną towarzyszką życia przez lat tyle.

J. dno spojrzenie, płacz Geni, mina doktora, powiadają go o wszystkim.

Dzieci zaczynają szlochać, cisną się do kolan matki, dotykają jej rąk z miłością, ale i z tym lękiem, który każda śmierć budzi; Boguś z załamanymi rączkami staje przy Geni z jednej strony fotelu i przez łzy wpatrując się w nieruchomą twarz umarłej, odzywa się żalonym głosem, z dziecięcą naiwnością:

— Przecież mamusia tylko udaje!..

Jemu ostatniemu trudno uwierzyć w tę okropną prawdę, której poddać się nie chcą serca kochające, z którą zgodzić się nie umieją nigdy bez protestu, bez łez i rozpacz.

W całym domu Pawłockich słychać tylko płacz i szlochanie, wyrzekania i żale.

— Mama umarła!... mamusia nasza umarła! — powtarza się na rozmaite głosy żałobna skarga, a wśród tego zamętu, płaczu, jęków i westchnień, jedna tylko osoba spokojnie, obojętnie, z rękoma złożonymi na piersiach, leży wyciągnięta na rozbranym łóżku, nieczuła już więcej na nic, cicha i uśpiona na wieki — biedna mamusia.

Przeniósł ją sam Pawłocki i Krempel z fotelu na to ostatnie posłanie, z którego ma pójść do trumny jutro rano.

Już jutro .. oj, Boże, Boże!...

*

*

*

Jedno złe zwykle z drugim w parze chodzi.

Tam na górze śmierć, a tu na pierwszym piętrze choroba.

Gajskiemu się coś zrobiło nagle, że oddychać nie może, kole go w boku, kaszle, gorączkuje, przewraca się po łóżku; tak, jak był, zdjawszy tylko buty i surdut, położył się pod kołdrę i stęka.

Anastazy wystraszone chciał już biec po innego doktora, aby co poradził panu Frankowi, bo to chyba nie żarty.

Bóg wie, kiedy pan Krempel wróci; przecież to północ niedaleka, a do świtu może się stać jeszcze jakie nieszczęście.

Gajski nie mówi nic, ale przewraca się po łóżku i jęczy.

— Co panu jest?... co pana boli?...

Na wszystkie pytania Anastazego niema odpowiedzi, jakgdyby chory nie słyszał, albo nie chciał słyszeć starego sługi.

— Krempel nie wrócił? — pyta wreszcie sam z wysiłkiem w głosie.

— Nie, ale jest podobno na górze, u państwa Pawłockich.

— Sprowadźcie go...

— Kiedy tam także nieszczęście.

— No?...

Anastazy nie wie, co zrobić, nie jest pewny, jakie wrażenie sprawi ta wiadomość na rozgorączkowanym Gajskim.

— A no... już się skończyło.

— Z kim?...

— A no niby... z panią Pawłocką.

Franek unosi się na łokciu i spogląda na Stazę, jakby go nie rozumiał dobrze.

— Co się z nią stało? — pyta, dysząc ciężko.

— A no, cóż... umarła dziś wieczorem.

Powiedziawszy to, wyciąga rękę, aby podeprzeć Gajskiego i okryć go lepiej kołdrą, dodając dla uspokojenia chorego:

— Ale niech się pan nie obawia, to było jej sądzone od dawna. Młody, to i dziesięć chorób przetrzyma, a starego to lada co przewróci. Możeby panu dać co na poty?...

Ale Gajski znowu nie odpowiada, jakby oniemiał.

W piersiach mu słychać tylko jakieś rżenia od czasu do czasu i kaszel budzi go ze śpiączki, w którą zapada.

Nareszcie wraca Krempel do domu; jest moralnie i fizycznie wyczerpany.

Ta śmierć nagła Pawłockiej i to w chwili takiej, gdy go błogosławiła, jako przyszłego zięcia, ten zbieg okoliczności tak fatalny, potem te wszystkie sceny na górze, wszystkie wstrząśnienia i wrażenia, do których jako doktor jest wprawdzie przyzwyczajony, ale tu wyjątkowo jako człowiek odczuwać je musi głębiej, wszystko to rozstroiło go i zmęczyło.

Chciałby wytchnąć przez chwilę, zebrać myśli, otrząsnąć się, zanim znowu powróci do nich na górę.

Anastazy jednak wita go w przedpokoju już wiadomością o zachorowaniu Gajskiego.

— Cóż mu się stało? — pyta, idąc wprost zamiast do siebie, do gabinetu przyjaciela. — Franek, a to-

bie co?... odwróć-no się, pokaż puls; masz gorączkę?...

Zaczyna go badać, osłuchiwać, opukiwać, zbudziła się w nim znowu natura lekarza wobec wypadku choroby, której nie trudno zdefiniować.

— Zapalenie płuc, — powiada — gdzieżeś ty się zaziębił?... przecież nie wychodziłeś przez tych dni kilka.

Gajski obojętnie słucha wyroku dyagnozy; wie tylko, że go kolki sparty i że mu oddychać trudno. Pokazuje palcem na piersi i na głowę, jakby chciał powiedzieć:

— Pali, boli... ratuj.

Co tam się będzie teraz tłumaczyć, że głupstwo zrobił, bo zirytowany, zgrzany, po owej rozmowie z Grotwiczem, wstał w nocy i otworzył okienko; za dużo dymu było w pokoju.

Nie innego, tylko wtedy jeszcze się zaziębił, a potem sobie poprawił.

Przecież nigdy nie był ostrożnym i swoje marne zdrowie narażał życiem najbardziej niehygienicznym; jakoś mu tam jednak uchodziło to do czasu.

Zdechłak, zdechłak, ale się trzymał; skrzypiące koło najdłużej przecież ciągnie.

Dopiero teraz go przyparło.

Ha, no trudno; raz kozie śmierć. Z umieraniem mniejsza, ale byle tylko trochę swobodniej można było znowu oddychać, reszta głupstwo na razie.

To jedno chodzi Gajskiemu teraz po głowie; odkaśd wszelako zobaczył Krempel przy swoim łóżku, już mu się zdaje, że mu łżej trochę, wie, że ma pomoc i opiekę zapewnioną.

Krempel przecież dobry doktor, no i przyjaciel, zajmie się nim z podwójną gorliwością.

Tak, ale co to można wiedzieć!... Po jakiego licha ta śmierć się włóczy nocą po domu, minęła jego drzwi i poszła na drugie piętro, ale wracając, kto wie, czy szelma nie wstąpi jeszcze po drugą ofiarę...

Gajski leży tak na wznak i majaczą mu się bezładnie rozmaite myśli, dreszcze go przechodzą, ma uczucie, jakby mu ktoś kamień młyński położył na piersiach i oddychać kazał z takim ciężarem.

Niecierpliwi go, że ten felcer z bańkami nie przychodzi tak długo; przecież Anastazy poszedł po niego wczoraj jeszcze, czy przed dwoma godzinami, czy może tylko przed kwadransem...

Wszystko jedno, dość, że siedzi tam gdzieś i nie wraca.

A Pawłocka umarła...

Wielka historia, to ludzkie życie; jest się o co tak bardzo ubiegać! Jedna chwila i po wszystkim. No, ale młody to i dziesięć chorób przetrzyma a starego lada co przewróci...

Tylko jakim jest właściwie Gajski, młodym czy starym?... on sam dobrze tego nie wie.

Zdaje mu się, że żył już sto lat i znowu, że weale żyć nie zaczynał. Nie, to życie mu się jakoś dziwnie nie udało i lieho wie dlaczego?... rozmyślałby nad tem, gdyby go kluc przestało i gdyby nie miał gorączki.

— Słuchajno, — szepece do Krempel, mierzającego mu temperaturę pod pachą — czy zemną źle?...

— No, dobrze nie jest w każdym razie, ale nie bój się; bywają gorsze choroby, — uspakaja go Krempel.

— Ale dyabli mnie wiaść mogą?

— Eh, co tam masz myśleć o tem; to się jutro pokaże po bańkach.

— Jutro dopiero?...

Gajski wdycha i chmurzy czoło, potem ustami porusza z niesmakiem, jakgdyby miał język z surowej skóry wprawiony.

Ostatecznie wszystko mu jedno, byle tylko te bańki mu postawili jak najprędzej, skoro po nich ma się zrobić lepiej.

Jest w nim jakaś mieszanina apatyi i instynktu zachowawczego, chciałby wiedzieć, co z nim postanowiono; ten stan niepewności, zawieszenia między niebem a ziemią wydaje mu się nieznośnym. *Aut, aut.* A tu mu czekać każą do jutra!...

Nie, zdrowie ma swoją wartość, choćby najlichsze, choćby zdrowie takiego zdechłaka, jak on; byle nie choroba i nie to wyczekiwanie z myślą: co będzie?... poprawi się, czy pogorszy.

O, podła sytuacja.

— Gdzież ten felcer? — pyta zniecierpliwiony

Gdyby na nim nie siedziała jakaś zmora ciężka, jak góra gliny, wstałby i poszedł sam po te bańki, ale ruszyć mu się trudno, jest na łasce służącego, na łasce ludzi obcych, którzy niezem nie są z nim związani.

Mógłby tu zdechnąć, jak pies i niktby się nim nie zatroszczył; albo to ma kogo życzliwego przy sobie?... nikogo; jest sam, był sam, będzie sam umierał, będzie sam chorował, jak Łazarz.

No, jest pocziwy Krempel, ale i on człowiek obcy, ani mu brat, ani krewny, ma swoje obowiązki, ma głowę zawróconą teraz czem innem.

Z pewnością więcej myśli o Pawłockich, niż o nim, chociaż tam ze śmiercią już żadnej walki staczać nie może, a tu ma tylko chorobę do zwalczania.

Cóż mu się dziwić; jest przecież zakochany w Geni Pawłockiej.

Nie, stanowczo źle jest człowiekowi na świecie, bez życzliwości, bez przyjaźni, bez...

— Ach, nareszcie, jest felcer!...

W tej chwili Gajskiemu felcer wydaje się całym światem, zastępuje mu wszystko, czego mu w życiu brakowało dotychczas, jest jego wybawcą, sprzymierzeńcem, przyjacielem.

Nie zważa na to, że w normalnych warunkach ten zaspany żydek z niskim czołem, nad którym rzadkie włosy, przedzielone przez całą głowę, świecą się od pomady, z temi kosemi oczyma, z małemi baczkami przy uszach, z szeroką gębą i okropnie głupią miną, z jaką zabiera się do stawiania baniek choremu, wydałby mu się wstrętnym, i że nie pozwoliłby mu się dotknąć rękoma w brudnych mankietach ceratowych.

W tej chwili widzi w nim tylko człowieka, który ma ulżyć jego cierpieniom, odciągnąć mu część krwi z płuc zajętych i przywrócić oddech pierśsiom.

— Czy już mam siekać? — pyta obojętnie pomocnik felcerski, przytknąwszy kilka razy maszynkę do wytaczania krwi z chorego ciała.

— O już, już, — odpowiada sam Gajski, któremu pilno.

Pod wpływem bólu fizycznego odbiegły go naraż wszystkie refleksy; jest tylko czującą kłoda o kształtach ludzkich, która przestała rozumować, zastanawiać się, analizować siebie i drugich, rozmyślać i zajmować się czemś więcej oprócz baniek ciętych i ostrych koleców, które ją ranią.

— No, to ci chyba ulży, — powiada Krempel uspakajająco do swego pacjenta, a jutro zobaczymy co dalej będzie.

Gajski jest osłabiony wpływem krwi, słyszy tylko jak przez sen, oczy ma zamknięte i nie odpowiada nic, — wszystko mu jedno teraz, co będzie, byle mógł zasnąć i zapomnieć o całym świecie...

— A pan się weale dziś nie położy? — pyta pocziwy Anastazy, zaglądając w oczy doktorowi i biorąc go z lekka pod ramię z miną współczucia i troskliwości niemal ojcowskiej; — należałoby się panu wypocząć, oj należało. Łóżko już rozbrane; ja obudzę, gdyby broń Boże było gorzej.

Krempel klepie go przyjaźnie po ramieniu i wdychając, mówi:

— Oj, nie mój stary; ja mam jeszcze obowiązki tam na górze. Tu chyba nie będę już dziś potrzebny.

I idzie do Pawłockich znowu, ale już drugimi schodami, przez kuchnię, aby nie dzwonić.

W pokoju nieboszczki świeci się lampa na stole, a w głowach stoi gromnica i krucyfiks.

Prze tych kilka godzin zdążyli już ubrać ciało i ułożyć je, jak do trumny.

Pawłocki z oczyma czerwonymi, z rękoma w kieszeniach, chodzi po saloniku i poplakuje, rozmyśla; wdział biedaczysko pantofle, aby nie stukać butami.

Choć wie, że jego biedaczka nie usłyszy już jego kroków i nie obudzi się ze snu śmiertelnego, nie chce jednak przerywać tej uroczystej ci-szy, jaką majestat śmierci się objawia.

Nieboszczkę ubrano w nowy szlafroczek, który jej Genia na kilka dni przedtem uszyła, nałożono jej białe rękawiczki i wstawiono obrazek pomiedzy sztywne, splecione palce.

Leży cicha, spokojna, jakby spała, a przed nią siedzi Genia, wpatrzona jakimiś rozszerzonymi

żrenicami w matkę, z głową opartą na dłoni, z twarzą bladą, z oczyma bez łez, ale pełnemi takiego czarnego smutku, że z jego głębi nawet już łza wypłynąć nie może.

Wejście Krempła odwraca na chwilę jej uwagę i cuć z tej rozpaczliwej zadumy.

— Widzi pan, to mama nasza! — mówi do niego, wskazując na zwłoki, a mówi to na pozór spokojnie, bez wszelkiej afektacji, ale jest coś takiego w jej głosie i w tych słowach prostych, co brzmi jak najtragiczniejszy wykrzyknik bólu, żalu i skargi beznadziejnej.

Krempel ujmie jej rękę, przyciska do ust i milcząc wpatruje się z nią razem w tego cichego trupa, który jakby ich oczy i myśli hypnotyzował samym widokiem.

Nie mówią nie do siebie: w pokoju słychać tylko lekkie syczenie wosku w topiącej się gromnicy i skrzypienie podłogi pod krokami Pawłockiego w saloniku.

Zegar nawet przestał tykować, bo go czyjaś ręka zatrzymała, aby wskazywał ostatnią godzinę, jaka wybiła dla zmarłej.

Nie mówią do siebie ani słowa, ale jego myśli snują się nieustannie między nieboszczką a jej sierotą i wszystko, czego mu los nie pozwalał dopowiedzieć wówczas, gdy skłaniał przed nią głowę po błogosławieństwo macierzyńskie, mówi teraz po prostu, szczerze duchowi zmarłej, który się zapewne nad niemi unosi i nachylając miłośnie, powtarza słowa, jakich śmierć ustom dokonać nie zezwoliła:

— Moje dzieci, moje dzieci, niechże was Bóg najwyższy błogosławił...

(Dokończenie nastąpi).

KSIAŻKI KOŁĘDOWE.

II.

Ta młoda dziewczyna, która jeszcze na kolanach matki garnie się do czytania, otrzymała w tym roku niezmiernie wdzięczny podarunek, którego już sam tytuł pociąga ku sobie: „Pod majowym słońcem”. Jest to zbiorek wierszyków, napisanych bardzo wdzięcznie przez Konopnicką do kilkunastu chromolitografii i drzeworytów, przedstawiających w sposób bardzo miły dzieci na łonie natury, wśród zieleności i kwiatów. Poetka słusznie też woła: — I czegoż im trzeba?... Słoneczko przyświeca z wysokiego nieba... słoneczko przyświeca, ptaszę przyśpiewuje. Z czasem pójdzie za niemi i tutaj żal, pamięć strat poniesionych, zawodów doznanych; teraz przecież słońce zdaje się jaśnieje na to, aby je grzać, aby im ukazywać, że tu pięknie jest na tym świecie bożym, że byłoby nam tutaj tak dobrze, jak pierwszym rodzicom ludzkości w raju, gdyby człowiek umiał lepiej rządzić sercem i myślą swoją. Te dzieciaki zdrowe i wdzięczne, jak kwiaty świeżo rozwite, nie jeszcze o tem nie wiedzą, przecież już je trzeba uczyć życia, i poetka wplata w piękne poezijki swoje niejedną myśl, potrącającą już o to, co w przyszłości ma się stać dla nich prawem moralnem. Znajduje się tu, na przykład, takie zdanie o obowiązkach ludzkości, zamieszczone w pięknym wierszyku „Rada“.

W czym kto może niech posłuży...

Mały w małym, w dużym duży,

A za pomoc dla współbraci

Bóg nam cichym snem zapłaci...

— Otrzymasz w ten sposób spokój ducha — do daje — otrzymasz przyjaźń ludzką, za którą idzie łaska Boża... a równie rozumną jest — rozumna i głęboko moralna przestroga przed tą cygańską gospodarką życia, która, za wzięciem jedynie goniąc, nie umie według wyrażenia naszego ludu, miejsca zagrać i poetka przemawia tkliwie

przez usta matki, do dzieci, którą, idąc do roboty na kawałek chleba „na opiece wierzby zostawia“.

Ostań-że tu, nie płacz-że tu,

Dziecino złota...

Trzymaj-że się wierzby naszej,

Naszego płota...

Nie jeden z tych biedaków, którzy w puszczech Brazylii i nie Brazylii miesza łyzy gorzkie z kroplami gorącego znoju, zawołałby, czytając ten wierszyk prosty: — Ach, gdybym to był wiedział, co na dnie serca ludzkiego nie wytepiłone leży... Konopnicka podaje działwie młodej wysokie prawdy życia w formie prostego słowa, w przykładach drobnych życia zdarzeń oddziaływa rozumnie i szlachetnie na serca i umysły w pięknej książeczce swojej, wśród której do najpiękniejszych rzeczy należy wiersz: „Na zasadce“ i poprzedzająca go „Piosnka“. Razem cały ten poszytek, ozdobnie wydany, jest prawdziwie dobrym podarkiem kolendowym, który dzieciom nietylko ładnymi obrazkami przyjemność wielką sprawi, ale niejedną myśl dobrą w młodej głowie rozbudzi — wywoła niejedno pocziwego uczucia wzruszenie.

Dzieci starsze, młodzież, w której myśl i uczucie samodzielnie już się budzi, która zaczyna już stawać do życia o siłę własną, znajdzie wśród tegorocznych wydawnictw gwiazdkowych książkę wybornie napisaną poangielsku przez jednego z najszlachetniejszych myślicieli naszego czasu Lubbocka, a przez p. Izabellę Moszczyńską z siedemdziesiątego siódmego wydania angielskiego spolszczoną, jak to obwieszczone jest na okładce książki, noszącej tytuł, który w naszym wieku pesymizmu i prać krwawego znoju uderza, jak coś zadziwiającego: „Powaby życia“ (1). Autor sam to czuje i zaraz też w przedmowie tłumaczy czytelnikowi, pod siłą jakiego natchnienia dzieło swoje napisał. Za lat młodych skłonny był do melancholii i, czując, jak zbawiennie oddziaływały nań rozumne zdania ludzi, którzy umieli dobrze wejrzeć w życie, uznając jego wysokie i szlachetne cele, zapragnął oddać innym to, co sam niegdyś otrzymał jako dobrodziejstwo wysokiego znaczenia, i pierwsze też karty jego książki poświęcone są nowemu, nieznanemu dotąd w nakazach moralności obowiązkowi — obowiązkowi szczęścia, przytaczając zaraz na wstępie zdanie starożytnego mędrca, Epikteta, że jeżeli człowiek jest nieszczęśliwym, tkwić w tem musi jego własna wina, gdyż Bóg stworzył wszystkich ludzi do szczęścia. Życie samo już jest darem nieocenionym i gdy człowiek dosięga lat, w których rozważa staje się obowiązkiem, powinien stawiać przed sobą takie życia zadanie, aby je spełnić mógł, i w zakresie tym dokonanego obowiązku już czuł się szczęśliwym. Jeszcze Homer wyraził się przez usta Ułisesa: „Jakże smutno jest spocząć, zagasnąć, nie rozwiniawszy całej pełni sił swoich, żyć jedynie połową swej istoty“.

Jeżeli umiemy życie w jego głębszej prawdzie rozumieć, jeżeli drobnych jego przykrości nie podnosimy do rozmiarów wielkich przez wydelikatnioną miłość własną — jeżeli korzystamy ze wszystkich pięknych i szlachetnych stron istnienia ludzkiego, cieszymy się nietylko zyskami naszych własnych korzyści, możemy też szczęścia zaznać. Trzeba przytem wyrobić w sobie taką rezygnację, która jest w głębi rzeczy rozumem, aby wiedzieć, że tak nie może być życie bez cierpienia jak róży nie ma bez koleców. Wielkim przyczynkiem do szczęścia są szlachetne, niepowierzchowne w kierunkach pewnych zamiłowania i wiedza o tem ludzie oddani wyższej pracy twórczej, zajęciom nie do własnej jedynie istoty skierowanym. Lubbock przytacza też przykład, jak

można unikać wielu trosk, starć życia smutnych. Hegel kończył spokojnie wielkie swe dzieło „Fenomenologia ducha“ w mieście zdobywanem przez Francuzów, w Jena, lecz tu powiedzieć by można, że było to na korzyść nauki zatłumienie w sobie doszczętne uczucie najwyższego znaczenia dla każdej istoty ludzkiej, która coś serca w piersiach ma, ale zostawiając tę stronę rzeczy na boku mamy tu dowód, że człowiek zdolnym jest przez siłę ducha tak się podnieść nad różne bieżące sprawy życia, tak na nie obojętnym pozostać, jak gdyby nie istniały wcale, i poeta angielski Arnold nie myli się też wcale, twierdząc, że „człowiek jest sam sobie gwiazdą życia przewodnią a czynny nasze są dobremi lub złymi duchami naszymi“.

Znany myśliciel, Helps, twierdzi, że to nawet, co dowodnie już jest dla nas złem: cierpienie, pokusy, walki staczane wśród prób życia jeszcze do nieszczęść zaliczyć się nie dają. Przez nie to poznajemy samych siebie a doświadczenie przeważnie uczy człowieka żyć. Zdanie jednego z myślicieli naszych, że boleść nadaje wartość radości odpowiada zdaniu Lubbocka: że „obok doliny wzgórek najdoskonalej się wyudatnia, aby też odezwać wielkie dobro, powinien człowiek znać małe cierpienia“. „Cierpienia głupich leczą tylko czas“ twierdzi Epiktet — cierpienia mędrca rozum“ i na zasadzie tego zdania, może też każdy człowiek rozumny utworzyć sobie przez siłę mocnej woli twierdzę obronną przed wszelkimi nieszczęściami, które trzeba przyjąć jako nieuniknione prawo istnienia naszego — konieczność. Kto się chce zpod tego prawa wyłamać, ten cierpi właśnie więcej — cierpi srogo za każdą spotykającą go ujmą szczęścia, dobrobytu, bo kto nie jest zdolnym zadowolnić się tem, co posiada, nieustannie cierpieć musi, gdyż znajdzie się zawsze ktoś, mający to, co jemu brakuje, i tak bez końca każdy z nas byłby skazanym na cierpienia bez końca... Trzeba też powiedzieć za mędrce starożytnym, że zadowolenie człowieka nie polega na posiadaniu dóbr wielkich, ale na pragnieniach ograniczających się do możliwości ich posiadania.

Człowiek szlachetnego serca, podniosłego ducha cierpi nieraz ciężko, ciężiej może, niż inni, ale w zakresie tym, w którym cierpienia nie ujmują mu, ale dodają sił ducha i zdolności do czynów, rozszerzających krąg szczęścia i dobrobytu ludzkości. Poza tem każde pogrążenie się istoty naszej w cierpieniu wynikającym z wypadków losowych jest samolubstwem — jest dowodem małości ducha i autor dowodzi też z kolei, że jest na świecie szczęście, którego każdy najniżej wśród materialnych dóbr życia postawiony człowiek, pozbawionym być nie może, jeżeli tylko sam go się nie wyrzuci: szczęście obowiązku! — Wesołość jest córką pracy... mawiali łacinnicy, co znaczy, że rodzi je życie dobrze pojęte i zajęte: niedopuszczające do nas tych smutków i tęsknot różnych, które kryją się na dnie każdego ludzkiego serca, a którym praca nie pozwala nas ogarnąć.

Silna wola też należy do koniecznych warunków szczęścia, bo ona jedna zdoła panować nad nami lepiej, doskonale, niż wszystkie przepisy prawa, które bez jej pomocy nigdy wykonywane być nie mogą. Starożytny myśliciel Marek Aureliusz dziwił się, że ludzie, tak, jak i on sam, szukają uchrony zacisznej na wsiach, w górach, nad brzegami morza, gdy każdy człowiek może to znaleźć w sobie samym — w duchu swoim. — „Nigdzie człowiek nie może się spotkać z większym spokojem, być wolniejszym od strapienia, niż we własnej duszy jeżeli zwłaszcza nosi w sobie takie myśli, których rozważanie samo darzy już go doskonałym spokojem“.

Do powabów życia zalicza Lubbock nieplonnie zamięłowanie książki — czytania. Ryszard de Bury, kapłan angielski, wysoko w hierarchii kościelnej postawiony, bo używający godności biskupa, wydał w 1473 r. rozprawę pod tytułem: *Philobiblion*, w której pisząc o czytaniu, o książkach nazywa je najlepszymi mistrzami człowieka, którzy nauczają go bez nagród żadnych, nie niecierpliwiają się brakiem pojętności naszej, odpowiadają zawsze na zagadnienia, które im stawiamy, i po upływie tylu wieków jeszcze, to samo powtórzyć można. Petrarka nazywał książki przyjaciółmi swymi, którzy go oświecają, przypuszczają do siebie za-

(1) Obszerne streszczenie książki napisanej przez Lubbocka pod tyt. *Pleasures of life* podając wybitniejsze w niej ustępy, zamieściliśmy w *Bluszczu* z lat 1889 i 1890; w r. 1889 p. t. *Łoneczne strony życia*, w r. 1890 pod osobnymi tytułami. Przyp. Red.

wsze i o każdej chwili, nie gniewają się jeżeli nie zdoła odgadnąć słów mądrości, które mu niosą. Bardzo to nauczający rozdział książki. Rozdział „Dobrodziejstwa Przyjaźni” zawiera wiele pięknych wysoko szlachetnych myśli tej sferze uczuć ludzkich, gdzie serce już nie ulega sile namiętności, gdzie wszystko jest słodyczą i wzajemną darów wymianą. Autor przy określeniu dobrodziejstwa przyjaźni posługuje się tutaj piękną cytata z Cy-cerona że prawdziwi przyjaciele są sobie zawsze obecni, choćby ich rozdzielały przestrzenie wielkich odległości i „bogaci są choćby byli biedni; zdrowi są, choćby byli złożeni niemocą i, co brzmi jeszcze wspanialej, żyją dla nas nawet po śmierci”.

Cheąc wykazać wszystkie piękne, szlachetne, rozumne prawdy o życiu, zgromadzone w książce angielskiego autora, trzeba by wiele arkuszy zapisać. Rozdział „Wiedza”, „Sztuka”, „Praca i odpoczynek”, „Ambicja”. „Powaby domowego ogniska”, wszystko to rozdziały pełne prawd szlachetnych, wskazówek mądrych, ostróg uwagi godnych. „Wiara w postęp” bardzo szlachetnie przedstawia wrodzone człowiekowi pragnienie doskonałości, którego gdyby się wyrzekł, przestałby być tą istotą panującą nad całą przyrodą naszego świata i której świat ten zamknąć też nie zdoła. Na skrzydłach ducha powinien on unosić się nad głębinami tajemnic, jakie mieści w sobie natura, którą on przecież opanowywa z wieku na wiek i której władca staje się z wolna, zaprzęgając jej moce do pług swej pracy, do rydwanu swojej chwały. Jest to panowanie ducha nad materią są to ducha tego siły, które na ziemi człowiek posiada tylko, i które w sobie on jeden i jedyny wśród mieszkańców kuli ziemskiej zdolny kształcić i rozwijać coraz szerzej. Autor zamieszcza też w rozdziale *Wychowanie* rozumnie piękną i szlachetną dla wychowawców wskazówkę: co człowieka kształci jakie działają w nim moce, aby siły jego umysłu rozwinęły się dobrze i wzięły lot ku górze. — „Nie oko widzi piękności nieba, nie ucho słyszy pieśń ziołotliwej muzyki lub wieść radosną o szczęśliwym zdarzeniu jakimś, ale dusza gromadzi wszystkie nabytki człowieka umysłowe i zmysłowe.

Zajmujące czytanie dla młodzieży tego wieku, która się jeszcze nauk przyrodniczych systematycznie nie uczy, przedstawia książka „Z dziedziny przyrody i przemysłu” przez Mieczysława Brzezińskiego. wydanie M. Arcta. Pierwszy rozdział opowiada dzieje pewnego Marcinka, który opuściwszy kraj niedużym chłopcem i nie znając wcale jego pól, postanowił, przebywając w Chinach wzbogacić go posiadaniem nieznanego tam, jak sobie wyobrażał, rośliny: dyni. Gdy przecież w strony rodzinne przybył, błędem poznał i zawstydił go się bardzo, co było rzeczą niezwykłą i naturalną, bo według starej maxymy, obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje — potrzeba. Autor cheąc też pomódz młodzieży w spełnieniu tego obowiązku, napisał bardzo dobrym, czystym i przystępnym językiem książkę z zakresu przyrody i przemysłu, w której rzeczy nasze są szczególnie uwzględnione. Jest to książka bardzo zajmująca, bardzo pożyteczna, a pisana, jeżeli tak się wyrazić można, politeracku: stylem który czyta się bardzo przyjemnie jakkolwiek chodzi tu o rzeczy przyrodnicze, poczyta nie została wygnana, bo pogawędka mająca za przedmiot ogród warzywny zapożycza się u *Pana Tadeusza* i przedstawia słowami poety ten opis tkwiący w pamięci każdego: — „Tu kapusta sędziwa, schylając łysiny, siedzi i zda się dumać nad losem jarzyny...”

Książka p. M. Brzezińskiego napisana zajmująco, czystym, pięknym językiem, co wiele znaczy ze względu na młodych czytelników, którzy książek z tego zakresu wiedzy nie chwytają tak łakomie, jak gdyby to była powiastka. Wychodzi to przecież przez sposób pisania, przez styl łatwy i czuły tak zajmująco jak gdyby to była powiastka rzeczywistości. Że w dodatku mieści się tu 2-3 obrazków, książka zyska sobie niewątpliwie zajęcie czytelników, którym w zakresie swego przedmiotu tę korzyść przyniesie, że natura otworzy im zapewne nieznane dotąd skarby swoje, których wiedza rozjaśni im pogląd na świat ich otaczający.

Do rzeczy wybornych, które tegoroczna *Gwiazdka* przyniosła młodym czytelnikom w wydaniach nowych, należy „Szesnaścieletni Wojewoda” przez Michałinę Zielińską, wydanie Maurycego Orgelbranda, oraz te same autorki „Branka Litewska.” Ostatnią tę książkę, którą młodzież inteligentna z wielkim zajęciem czytać będzie, zdobią jeszcze bardzo zajmujące, piękne ryciny, „Skarbczyk obrazkowy” i „Licebnik w obrazkach,” wydawnictwo tej samej firmy, uciechą bardzo młodszą dźwiatwę. „Skarbczyk obrazkowy” jest bardzo podobny z układu i treści do Konopnickiej „Pod majowym słońcem” a „Licebnik w obrazkach” ułatwi w bardzo miły sposób młodej dźwiatwie początki nauki rachunków, do której zachęcają ładne obrazki.

M. I

DNI DOROCZNYCH UROCZYSTOŚCI RODZINNYCH

(ze wspomnień młodości).

(Dalszy ciąg).

Wnętrze dworu odznaczało się zadziwiająco prostotą. Czystość, porządek, ale też brak wszystkiego, co by było obliczonem na jakąś szczególną wygodę, a traciło miękkością. Zdałoby się, i słusznie, że zamożna, prawie stu-letnia przystojna kobieta ma prawo do szczególnych wygod, do wypoczynku, do jakiejś ciszy niezwykłej wśród domowego gwaru.

Nie podobnego nie spotykano: żadnej bokówki, żadnego zacisznego gabinetu, gdzieby w ciągu dnia wypocząć mogła pani domu tego. Wszystko tam tak zawsze było, jakby wciąż czuвано. A że do czuwania wprawiać się lubiono — świadkiem kogut, który w środku domostwa miał swą siedzibę. Kto w domu tym nie nocował, nie mógł nawet domyślać się obecności czujnego ptaka.

W przedłużeniu sieni głównej domu spotykano coś niby alkowę, ciemną, przechodnią, gdzie — prawdopodobnie w klatce zamknięty — przebywał kogut, spełniający funkcję excytarza. O kilka kroków dalej, poza ową ciemną alkową na kurytarzu, przebiegającym tylną część domostwa i dzielącym ją na dwoje, stał zegar stary, gdański, z kukułką... Zegar wybornie pełnił swą funkcję, ale widocznie zamało tego było. Kogut uzupełniał, czego zegar nie zdołałby dokonać...

Przed świtem podnosił kogut głos swój doniosły; piał ochotczo a rozgłośnie, budził, zagrzewał do czujności, ostrzegał o zbliżającym się dniu pracy. Na to ostrzeżenie ten i ów z głębszego snu oczy otwierał, ognie rozpalano, życie powoli budziło się, ożywiało, wchodziło na tory zwykłego znoju... Goście, zwykle w oficynach, nie słyszeli ptasiego hejnału, lub inne koguty wyśpiewywały im okrzyki czujności spóźnioną dobą nocną; ja jednak zwykle przysłuchiwałem się, nie innemu, tylko temu koguciemu śpiewowi; nas bowiem, jako przedniejszych gości, pospolicie lokowano w głównym budynku... Zdało mi się, w mej myśli dziecięcej, iż to najcenniejszy śpiewak wśród koguciego rodu; i może o niewiele myliłem się... Jeżeli Mohortowy kogut, zwany „Zegarkiem”, który był, jak sokół, na to unoszony, aby znać dawał kiedy nocną dobą czas zmieniać strażę... godnym się stał uwiecznienia w poezji, kogut, o którym mówię, nie ustępował mu, zaiste... Pilny, czujny, obowiązek swój spełniał skrupulatnie, jak wszystko, co pod owym dachem żyło i pracą dzień wypełniało.

Sień domu, jak obyczaj chciał mieć w starych budynkach, jak ją widzimy w dawnych kamienicach rodów możnych w Krakowie, szeroką stonkowaną była pierwotnie, później zmniejszono ją, oddzielając część na alkowę, gdzie przebywał ów

śpiewak ptasich hejnałów. Z sieni trzy biegły drogi: nalewo do rozległej izby jadalnej, wprost, w głąb domu, naprawo do przedniejszej części domu. Wchodzimy...

*

*

*

Pierwszy pokój, długi, wąski, o jednym oknie, spełniał kilkoraką funkcję. Był on ulubionym przybytkiem dzieci... Różni wnukowie i wnuczki, prawnukowie i prawnuczki mieli tam wyborną arenę do zabaw, acz na przestrzeni zbyt ścieśnionej. Lecz ten pokój przechodni miał i inne przeznaczenie; wśród nielicznych mebli posiadał obszerne biurko, które zeń czyniło pewien rodzaj kancelaryi gospodarskiej, a zarazem i kassy. W biurze tem, staroświeckim, lecz wcale niewykwintnem, o licznych skrytkach, szufladkach, ustawione były rzędem wory i worki opieczętowane, z kartkami oznaczającymi sumę w nich zawartą. Była to więc kassa, nie ogniotrwała, nie żelazna, lecz zawsze napelniona, zawsze wielce zasobna... Kilkanaście worków srebra zawsze w niej widziano... Dzisiaj niedowierzania jest rzeczą, iż zasobna kassa mieściła się u wejścia do domu, jakby dla wszystkich otwarta; bez żadnej straży i opieki, bez żadnego szczególnego nad nią czuwania; a jednak wcale przykładu nie było, by kto zamierzał na nią się targnąć. O jej zasobności powszechnie wiedzano, lecz nikt inny, a jedynie poziom ówczesnej moralności jej strzegł.

Odsyłanie do banków sum większych, oszczędności nie leżało w zakresie obyczaju ówczesnego; zresztą i banków w bliższych miastach nie było: lokowano niekiedy u możnych, ale pani R. i tego nie miała w obyczaju. Trzymała wszystko u siebie, w owem biurku starem, o wcale niepokaznej postaci.

Następny pokój tworzył główne życie ognisko. Tam zwykle, codziennie, Mszę Św. odprawiał miejscowy kapłan; od czasu, gdy wiek nie pozwalał gospodyni domu uczęszczać do kaplicy, o kilkadziesiąt kroków od mieszkania odległej, tam pospolicie przebywali goście domu, których nigdy prawie nie brakowało, tam zresztą i gospodyni domu czas spędzała na jakiejś ręcznej robocie, w ostatniej dobie życia.

Tu, w głównej izbie domu, prostota zupełna: nigdzie przeładowania licznymi meblami, nigdzie pstrocinny, ścisły sprzętów, zaniedbania. Spotykano jedynie sprzęty niezbędne, wszystko nosiło znamię jakby bardzo niedawnego zamieszkania, acz przeszło pół wieku oddzielało nas od owej chwili, gdy owdowiła pani wierzbiańskiego zamczku tu, na pustkowiu, kładła fundamenta nowego domu i życia, które toczyć się odtąd miało innemi torami...

Nie idziemy do dalszych izb domostwa...

W pierwszej, głównej, gwar, lecz jakiś poważny, stłumiony, chociaż osób zebrala się gromadka liczna... To przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia; pokrewne rodziny zbiegły się tam, aby pod dachem babki i prababki spędzić dnie dorocznych uroczystości. Tłumnie tam i gwaro, ale nie hałaśliwie, a chociaż każda godzina nowego gościa przysparza, huczek jednak nie wzmaga się. Pani domu zbytecznego gwaru nie lubi, brak więc hałasu, rozmowy toczą się swobodnie, lecz niegwarnie... Co chwila słychać jak sanki suną jedne po drugich po szklistej powierzchni śniegu; co chwila przegłos podwójne, szczerlnie zamknięte okna dobiega odgłos dzwonek..., Wychyla się ten i ów do okna, niewiele może dojrzeć przez zamazane szyby, czeka więc cierpliwie aż nowa postać wejdzie.

I takich nowych postaci w owym dniu i w następnym, Wigiliowym, wchodziło niemało. Jedni przyjeżdżają sami, inni z rodziną, z dźwiatwą; zdumieć-by się mógł obcy przychodzień, gdzie się to wszystko mieści: jak dom niewielki zdoła w swych ścianach zamknąć tę cizbę połączoną węzłami krwi i powinowactwa w jedną rodzinę.

Na pierwszym planie niejako postać samej gospodyni domu, uderzająca powagą i jakimś nieujętem, a jednak niepospolitą, wdziękiem starości: wielki spokój bije z jej oczu pełnych rozumu. Obok, malutki, dziwnie proporcjonalnej budowy,

o włosie mlecznej białości, starzec — to znany już nam jej brat, młodszy dalej jej dwaj synowie, już również w wieku podeszłym; dwóch innych śmierć oddawna zabrała. Ci dwaj synowie to ziemianie, o wziętości wielkiej i szacunkiem wielkim otoczeni; obaj ludzie serca ku niedoli ludzkiej otwartego. Przeszło ich życie na szerszych obszarach: jeden, starszy, p. Wojciech, spędzał lata na publicznych, ziemiańskich urzędach, do których pole było niegdyś szeroko dość rozległe; drugi, młodszy, p. Jan, służył w wojsku, kolegował przy żołnierskiej misce z Henrykiem Rzewuskim, późniejszym autorem „Listopada“.

Przyszły twórca *Rycerza Lizdejki* snadź sam nie wielkim rycerzem był. Postawiono go raz w lwowskiej potrzebie, młodziutkiego, ośmastoletniego, na widocie nocnej, gdzie miał kilku żołnierzom przewodniczyć.

Nazajutrz o świcie pan Jan, posłany, by zdjąć posterunki, nie znalazł Rzewuskiego. Zdziwienie było niemałe, gdyż noc przeszła spokojnie. Żołnierze nie wiedzieli też, gdzie im się wśród nocy zapodział ich wachmistrz młodziutki. Niepodobna było przypuścić by Austriacy tak cicho, bez wystrzału, go porwali. Woła tedy p. Jan: Henryku! Henryku!.. Echo jedynie odpowiada.

Miejscowość krzakami była okryta. Rzucono się ku krzakom, i, z niemałym zdziwieniem i zgorznięciem, za rozłożystą olszyną, znaleziono zgubę w całosci: spał p. Henryk w najlepsze, niby za dni zupełnego pokoju.

Przygoda, niezbyt rycerska, późniejszego szermierza pióra, utkwiała w pamięci nietylko p. Jana, ale i jego służącego, Nicefora, który, znacznie starszy od swego pana, oddawał się z nim razem niegdyś żołnierskiemu rzemiosłu. Nicefor, w epoce, gdy go znałem, suwał już z trudnością nogami, acz jeszcze starał się trzymać prosto, jakby wciąż siedział na łku. I raz pewnego o kilka lat później, gdy już podrastającym chłopięciem na trawnikach ogrodu czytałem wychodzącego właśnie wówczas, jako dodatek do *Dziennika Warszawskiego*, *Rycerza Lizdejki* — powieść Henryka Rzewuskiego — stanął przedemną starowina, pytając, co czytam. Powieść o Rycerzu Lizdejce, hrabiego Rzewuskiego, odparłem Niceforowi. Zachnął się stary. No, no... do czego tu przyszło, zamruczał, o rycerzach prawi ten, co nawet jedną noc żołnierzem być nie umiał...

Nie podobala mi się uwaga Nicefora, bo w mej trzynastoletniej głowie autor *Listopada* urastał na bohatera na każdym polu, ale na uwagę uwagę nie odpowiedziałem; zamilkłem, gdyż i Nicefor również był dla mnie powagą, był bohaterem, i to niemałym...

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż rozpoznawanie projektów w przedmiocie nowych podatków przez Radę Państwa, ma być dokonane przed końcem Grudnia.

— W Petersburgu otworzoną została przy ministerium spraw wewnętrznych komisya rządowa, w celem przejrzenia wszelkich przepisów, dotyczących dobroczynności publicznej.

— W radzie Państwa rozpoczęto czytać projekt podatku od mieszkań.

— Konkurs dramatyczny rozstrzygnięty został na zebraniu członków komitetu konkursowego, pp. Chmielowskiego Piotra, Jankowskiego Czesława, Kaszewskiego Kazimierza, Kotarbińskiego Józefa, Krzemińskiego Stanisława, Ładnowskiego Boleśława, Matuszewskiego Ignacego, Zawadzkiego Bronisława, którzy uznali, iż żadna ze sztuk nadesłanych nie posiada warunków potrzebnych do pozyskania nagrody pierwszej. Nagrodę drugą, rs. 500, przyznano sztuce „Nauczycielka“, pierwsze zaszczytne odznaczenie dramatowi „Jakub Warka“, drugie odznaczenie komedii „Flirt“. Ze względu na umowę z dyrekcją teatru nie otworzono kopert zawierających nazwiska autorów, aż do przedstawienia na scenie Wielkiego Teatru sztuk „Nauczycielka“ i „Flirt“, ponieważ dramat „Jakub Warka“ już był grany, przeto otwarto kopertę i dowiedziano się, że autorem dramatu jest p. D. Zgliński, Redaktor „Kuryera Warszawskiego“ niezależnie od sądu konkursowego przyznał 500 rs. nagrody autorowi „Flirtu“ z powodu, iż powodzenie „Flirtu“, poświęcone przez dwadzieścia jeden przedstawień, świadczy o sceniczności tej sztuki, więc odpowiada najlepiej celowi konkursu. „Nauczycielka“ miała przedstawień czternaście, „Szare życie“ sześć, co razem przyniosło teatrowi dochodu brutto 25.613 rs.

— Warunki nowego konkursu dramatycznego będą wkrótce ogłoszone.

— „Gazeta Świąteczna“ ogłosiła konkurs 1) na powiastkę, 2) na artykuł „z zakresu jakiegokolwiek nauki, lub odkryć, wynalazków, pracy, zwyczajów, wychowania, sposobu życia i t. d.“ Redakcja wyznaczyła 150 rs. nagrody, która może zostać podzieloną na dwie części. Praca konkursowa ma niebyć dłuższą nad tysiąc wierszy, licząc 42 liter na wiersz. Termin nadsyłania został naznaczony na d. 1 sz. Kwietnia 1893 r. nadsyłać należy do redakcyi „Gazety Świątecznej“ Nowy Świat Nr 26. Powiastki oraz artykuły nie nagrodzone, które jednak będą posiadały wartość literacką drukowane zostaną w Gazecie.

— Rzeźbiarz Jakubowski wykonał podobizny medalionowe Żółkowskiego i Królikowskie, rozpoznawalne w gipsie.

— Prezes Warszawskiego Tow. Dobroczynności, książę Tadeusz Lubomirski zaproponował zaproszenie większej liczby członków opiekunów nad ubogimi po cyrkulach. Postanowiono też zorganizować tą pomoc najpierw w cyrkule IX, następnie w innych. Komisyję składają: prezes wydziału wsparć pp. Fr. Rydzewski, vice-prezes Adam Gagatnicki i Bronisław Knoll.

— Otwartą i poświęconą została pierwsza Tania Kuchnia zamiejska, na Woli, poświęcenia doznał ksiądz Habielski, proboszcz miejscowy. Na początek wydanych zostało bezpłatnie ubogim mieszkańcom gminy wolskiej 150 poryczy zupy kartoflanej i kapuśniaku z kawałkiem mięsa.

— Nowa tania kuchnia ludowa pod kierunkiem szczególnym wybranego na ten cel komitetu z p. Kanigowskim na czele zaczęła wydawać za bardzo małą opłatą posiłek gorący, złożony z kapu-

śniaku i herbaty, Najbiedniejsi otrzymują go bezpłatnie.

— Włościanie wsi Rembelszczyzna w powiecie warszawskim, wydzierżawiwszy prawo polowania na gruntach swoich za 100 rs., postanowili cały ten fundusz obrócić na oparkanie ementarza parafialnego. Za owe 100 rs. kupionym zostanie potrzebny tu materiał, a na wiosnę gromada weźmie się do pracy wzniesienia parkanu własnymi rękami.

— Filantrop szlachetnego serca i dobrej pamięci, Erazm Jerzmanowski, nadesłał z Nowego Yorku do Krakowa 400 zlr. dla ubogich miejscowych.

— Uczeń krakowskiej szkoły przemysłowej, Antoni Wyrobek znalazł na ulicy kosztowności, wartujące 6.000 zlr. i złożył je zaraz w ratuszu, nie żądając żadnego wynagrodzenia za czyn swój uczciwy.

— Po powrocie z Ameryki Dr Danikowski wygłosił we Lwowie szereg odczytów „Wrażenia podróży za Ocean“.

— Wystawa elektryczna mająca się odbyć 1894 r. w Medyolanie, sprowadzi za sobą nowość, że miejska kolej konna zamieniona zostanie na kolej elektryczną.

— W jałowej, słońcem palonej pustyni Kolorado należącej do Stanów Zjednoczonych zauważano, że ziemia staje nagle wilgotną, czernieje, aż po upływie dwóch dni wystąpiło wśród nocy na powierzchnię jezioro 48 mil kwadratowych długie, 13 mil szerokie. Ku południowi powstało podobnie drugie jezioro takie, a rozszerzające się ciągle, choć zwolna i dające wyraźnie do połączenia wód swoich z wodami sąsiednimi. W razie gdyby się to stało, jak przypuszczać można, przestrzeń wód zajęłaby 7.300 mil kwadratowych. Uчені amerykańscy dowodzą, że ziemia ma jeszcze przed sobą perspektywę wielu przeobrażeń.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem **Trzy przeznaczenia**, przez Marionę Crawforda, przekład z angielskiego.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Przenajświętsza rodzina (rysunek). — Pogawędka, przez Quisa. — Narady pedagogiczne, przez M. I. — Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza (dalszy ciąg). — Książki kołędowe, przez M. I. — Dni dorocznych uroczystości rodzinnych (ze wspomnień młodości), przez Maryana Dubieckiego (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty **Trzy przeznaczenia** przez Marionę Crawforda. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. — 24 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 9 Декабря 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

PRZEGLĄD MÓD.

Jeszcze słówko o futrach. — Fason spódnic. — Guziki. — Fartuszek. — Papier inwityacyjny. — Falbanki wiksatynowe na śniegi i błota. — Motyle.

Obok rotund, na które używają wigonie, sukna i grube podobne gładkie lub nawet fasonowane materiały podszywając je futerkiem lub jedwabiem, noszone są długie polonezy zapinane na 2 rzędy dużych guzików, przybrane imitacją bobrów, bo na prawdziwe nie każdego stać, skunksami, szenszylą i rozmaitemi fantazyjnymi futrami. Na podszycie stosownie do przeznaczenia służy gruba flanela w kraty szkockie lub lekkie futerko, jak: bieliski, popielice, rysie, czy też farbowane zające. Rotundy do futra robią się tylko do kostek, to jest krótsze jak w roku zeszłym, a za to w górze dają się dwa duże kołnierze, czyli małe pelerynki, spadające jedna na drugą, lub jedna dłuższa obłożona futerkiem. Pomimo, iż latem i jesienią długość żakietek o wiele skróconą została, jednak do futra robią się zawsze dłuższe, a owe tak zwane „sur-duty” redingotte, nie są czem innym jak polonezą, różniąc się jedną zaszwką.

Duże metalowe guziki zarzucone czas jakiś wracają większe, niżeli były do mody.

Pomimo usiłowań przywrócenia draperii, suknie dotąd są krajane z tyłu w kliny, z przodu obeiste i proste tak, iż kształty ciała rysują się widocznie. Nawet dziś przy owych okragło krajanych formy cyrklowanej, jak burmus i drugich, niby parasol o 10-ciu szwach, bo tyle klinów wypada, zawsze z przodu, spódnica leży gładko i prawie się opina.

Fartuszek dla okrycia sukni przy nalewaniu herbaty, bardzo dziś używane nie tylko przez angielski, ale i francuski, robią z batystu, muslinu gładkiego, haftowanego w grochy lub kwiaty, z fularu surowego, zresztą z czego kto chce. Robią je długie, aby rzeczy-

wisze ochraniały suknie, angielski zawieszają przed siebie prosty kawał, jakby chustkę do nosa, francuski nadają fason i ozdabiają haftem, wstążkami i t. p., tylko tiuliki wyszły z użycia z nastaniem mody koronek; fartuch taki powinien dochodzić do brzegu sukni, przszyty do paska, od którego idą dwie szelki przez ramiona, łącząc się znowu u paska, zupełnie prosty fason, a że francuski były i są dobrymi gospodyniami, więc do każdego zajęcia używają fartuszek. U nas zakład haftu panny Bobrowskiej, Czysta 2, celuje w inwencyi takich fantazyjnych fartuszków, i zawsze u niej gotowe znaleźć można.

Wiemy, że moda wszędzie kładzie swoje „veto,” otóż spotkalismy się z papierem nowo-modnym, na inwityacje wieczorowe tylko przeznaczonym. Są to karty z brystolu w kolorze perłowym lub heliotrop, obrzeżone złotem lub srebrem z monogramem zapraszającego, koperty zastosowane do tego w formie nowomodnych kieszonek, karty te pochodziły ze znanego zakładu papierów listowych zbytkowych Schustra, mieszczonego się obok ulicy Aleksandrya, na tak zwanym okólniku hrabiego Krasieńskiego, z kąd wychodzą wszystkie papiery listowe z emblematami za paryżkie uważane.

Na sezon śniegu, który nas tak obficie zasypuje, bardzo użyteczne i praktyczne są falbanki wiksatynowe plisowane, którymi się obszywa suknie i halki. Zaśnieżone lub zabłocone najłatwiej

się czyszczyć zimną wodą, gąbką zmywając, a pan Stiefsohn, u którego zawsze wszystko w najlepszym się znajduje gatunku, sprowadził je w rozmaitych kolorach, miękkie, jakby jedwabne. Oprócz tych falbanek, spotkalismy tam koronki imitacja, naśladowujące zupełnie stare weneckie lub brabanckie; czegoż bo te fabryki francuskie nie naśladowują, tylko młodości i zdrowia, pomimo anonsów o środkach niezawodnych na jedno i na drugie powrócić a nawet naśladować nie mogą.

Chociaż to jeszcze nie wiosna, pokazały się w sklepach motylki z piórek wielkości naturalnej, osadzone jak broszki, którymi zdobią kape-lusze, włosy i żaboty.

L. C.

Suknia spacerowa.

Rycina Nr 1.

Suknia z sukna koloru brązowego i z aksamitu w paski tegoż koloru z złotem. Dolna część spódnicy zaopatrzonej w podszewkę otoczona falbanką 9 cent. szer. z sukna, zakończoną wąską listewką z aksamitu. Z tegoż samego aksamitu w paski kamizelka, oraz część wstawiona w plecach i górna część rękawów.

Suknia spacerowa lub wizytowa

Rycina Nr 2.

Suknia z materiału wełnianego w prążki koloru piaskowego, przybrana aksamitem mienionym w cienie: zielony i brązowy. Spódnica okrągła, dolny brzeg zaopatrzony podkładem z materiału włosianego, na zewnątrz otoczony buffą z aksamitu skrajaną ukośnie, oraz wązkimi paskami futra nurków. Krzyżowane upięcie z aksamitu na staniku również futrem ozdobione. Szarfa aksamitna związana w tylnej części na kokardę.

Suknia domowa (robe d'intérieur).

Rycina Nr 3.

Suknia formą „princesse,” wykonana z krepy chińskiej w desień kolorowy, oraz z takiejże krepy gładkiej koloru białego z fałdą „Watteau” w tylnej części. Tren nieco powłóczysty. Przybranie stanowi puszek łabędzi.



Tylna część Nr 2.

Nr 1. Suknia spacerowa z sukna.

Nr 2. Suknia spacerowa z materiału wełnianego.

Nr 3. Suknia domowa (robe d'intérieur).

Tylna część Nr 1.

Woreczek „Pompadour“ (robota szydełkowa).

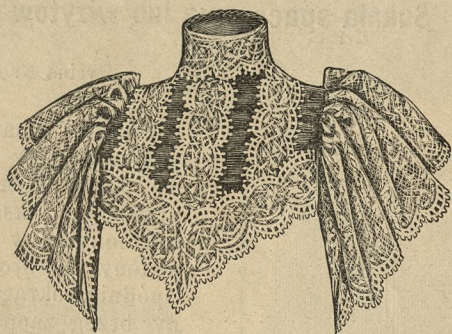
Rycina Nr 5.

Woreczek wykonany z materiału jedwabnego koloru brązowego z części 45 cent. długiej a 50 cent. szer. Dolna część wykrojona w łuki, górna zaś obrębiona na 8 cent. szer. i podług ryc. przewleczone sznureczkiem krzyżowo do ściągania. Haft ze sznureczka umieszczony na stronie tylko zewnętrznej, wykonany jest podwójną przędzą „rokoko“ koloru brązowego ściśniami ściągami szydełkiem na podkładzie z sznurka i otoczony jedną koleją ściś. ocz. podwójną japońską nitką. Kółeczka umieszczone w środku wykonać na foremkach z tektury bawełnianej koloru starego złota, foremki te mają średnicy $2\frac{1}{2}$ i $3\frac{1}{2}$; większe otoczyć 36 ściś. ocz. a mniejsze 26 ściś. ocz. i otoczyć podwójną złotą nitką. Dolne promienie, tworzące frendzlę, wykonać w równych odstępach podwójną złotą nitką, na każdy 30 pow. ocz. złączyć w kółko, 3 razy w równych odstępach przewiązać supełkiem i zakończyć grełkami wykonanymi przędzą koloru brązowego. Na każdy grełot wy-

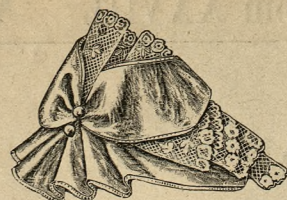


Nr 4. Tylne części sukni Nr 24.

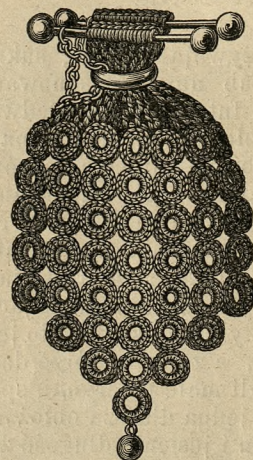
Nr 5. Woreczek „Pompadour“ (robota szydełkowa).



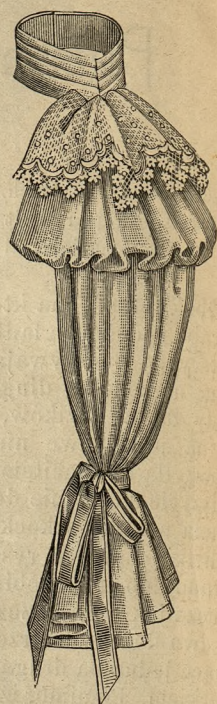
Nr 10. Kołnierz z koronki i wstążki aksamitnej. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 68).



Nr 8. Czepeczek z wstążki aksamitnej i koronki.



Nr 9. Woreczek na pieniądze (robota szydełkowa). Opis w Bł. Nr 50.



Nr 7. Żabot z krepy jedwabnej.



Nr 6. Kapotka z aksamitu.

konać 4 pow. ocz. i złączyć w kółko 1-m ściś. ocz., wykonać 4 pow. ocz., 5 słupków okręcanych 10 razy, które w dolnym brzegu umocować w kółko i 1 ściś. ocz. w 4 z 4 pierwszych pow. oczek. Pałeczki wykonane są słupkami okręcanymi przędzą koloru brązowego 135 cent. dług. złączony w kółko. Podług ryc. przymocować takowy do woreczka i zakończyć grełkami. Wykonać jak następuje: 3 pow. ocz., 1 słup. 6 razy okręcany w 1 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słup. okrę. w luźną żyłkę poprzedniego słup. okrę., na koniec 3 ściś. ocz. w 1 z 3 pow. ocz.

Kapelusz z aksamitu.

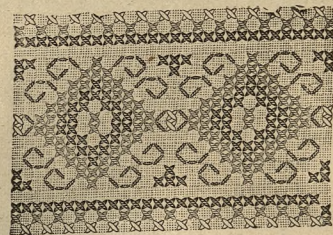
Rycina Nr 6.

Kapelusz w kształcie kapotki wykonany na foremce z peyntetki. Pokryty gładko aksamitem koloru zielonego. Brzeg zewnętrzny przybrany buffą 5 cent. szer. otoczoną szlakiem z dżetu. Główna część z części aksamitu 12 cent. szer. również dżetem przybrana. Wstążki wąskie aksamitne, rozeta z materiału jedwabnego koloru piaskowego i czarna egreta wykończy całość.

Żabot z krepy jedwabnej.

Rycina Nr 7.

Część krepy koloru różowego 122 centim. szer. a 90 cent. dług., ułożona podług ryc. Stożkowy kołnierz z krepy fałdowanej, zakończony falbanką 13 cent. dług. a 50 cent. szer.



Nr 12. Deseń haftu do sukni Nr 4 i 24. (Ścieg krzyżowy i Holbejna).



Nr 11. Suknia wieczorowa z adamaszku. (Opis pierw. str. tabl.).



Nr 13. Suknia spacerowa z materiału wełnianego angielskiego.

z gazy tegoż koloru haftowanej złotem i białym jedwabiem. Wstążka różowa 3 cent. szer. wykończa całość podług ryciny.

Czepeczek ranny ze wstążki i koronki.

Rycina Nr 8.

Foremka z petynетки z przodu 4 centim. szer., po bokach 1 1/2 cent. a 28 centim. dług., objęta białą atłasową wstążeczką, pokryta z przodu ułożoną w fałdy wstążką różową aksamitną 6 cent. szer., karczek zaś tą samą wstążką, wystającą na 2 1/2 cent. szer. Tylne części ozdobiona koronką 9 cent. szer., ułożoną wężkowato. Część przednia wykończona w samym środku kokardą pojedynczą z wstążki aksamitnej, oraz dwoma ozdobnymi szpilkami.

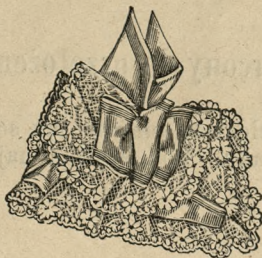
Suknia spacerowa ozdobiona futrem.

Rycina Nr 13

Suknia z materiału wełnianego angielskiego koloru piaskowego, przybrana welwetem koloru bronzowego.



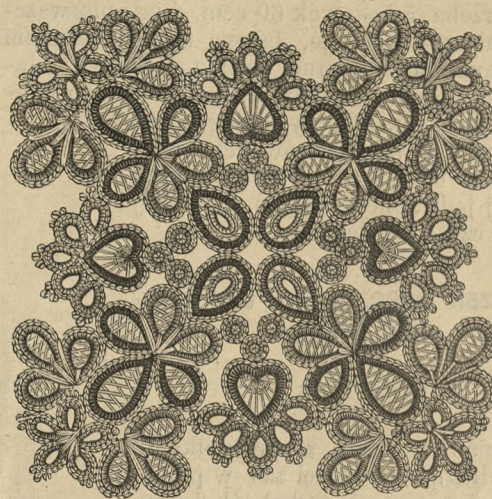
Nr 18. Worek pod nogi.
(Krój odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 69).
Opis w Bl. Nr 50.



Nr 17. Czepeczek wieczorowy dla starszej osoby.



Nr 14. Część haftu do ryc. Nr 21 (wielkość oryginalna).



Nr 15. Podstawka pod wazon i t. p. (robota szydełkowa na foremkach).

wego i z takiemiż rękawami. Wąskie paski futra bobrowego wykończają całość podług ryciny.

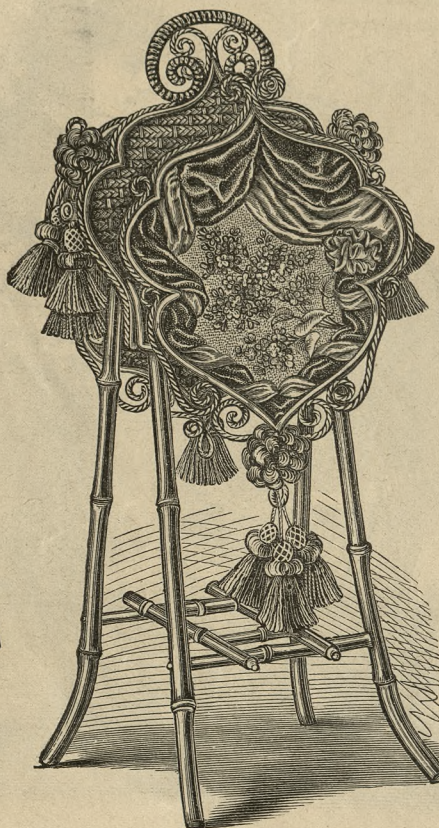
Patarafka pod wazon i t. p. (robota szydełkowa na foremkach i ścieg koronkowy).

Rycina Nr 15

200 foremek z tektury, z których 4 formy kształtu serca, średnicy 3 centim., 12 kółek średnicy 1 cent., oraz 92 foremek w kształcie listków w 4-ch wielkościach, a mianowicie: 4 — 4 1/4, 4 — 3 1/2,



Nr 19. Bluzka z materiału fanelowego „Lawn-Tennis“ (do ryc. Nr 20).
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 61 i 62.



Nr 21. Postument na gazety (haft wypukły („en relief“)). (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38).
Opis w Bl. Nr 50.

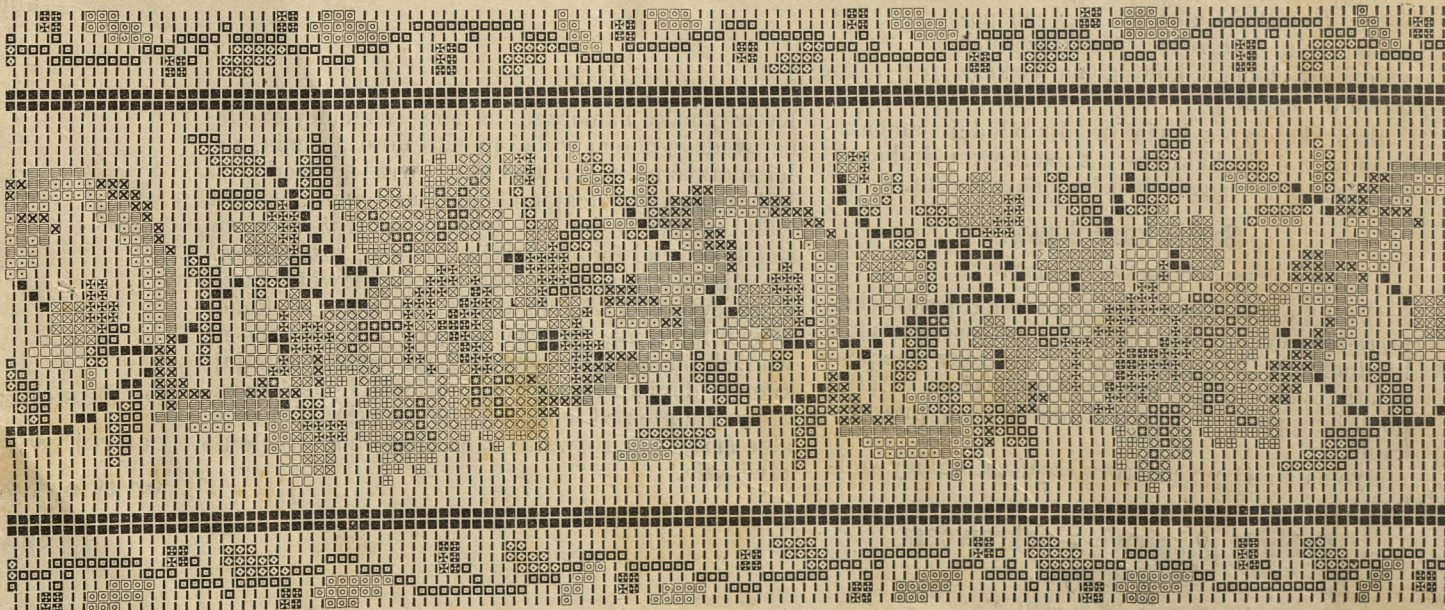


Nr 20. Tylne części bluzki Nr 19.

Fartuszek z pleśni w zęby i robota szydełkowa.

Rycina Nr 16.

Fartuszek wykonany z pleśni wełnianej koloru czarnego i krętej cienkiej czarnej bawełny, co stanowi dwie wstawki odmiennego desenu. Pierwszą wstawkę wykonać jak następuje: — 1 kolej: 1 ścis. ocz. w 3 z rzędu ząbek pleśni, 7 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słupkę w następ. ząbek pleśni, potem 1 pow. o. 1 śc. o. w



Nr 16. Fartuszek z pleśni wełnianej w zęby i robota szydełkowa.

Nr 22. Szlak na portyery, krzesła, firanki i t. p. (robota krzyżowa).
■ Bronz., * 1-szy ciemny nieb., □ 2-gi jaśniejszy, □ 3-ci najjaśniejszy, □ 1-szy oliwk. ciemny, □ 2-gi jaśniejszy, □ 3-ci najjaśniejszy, □ 1-szy popiel. □ zielony ciemny, □ 2-gi jaśniejszy, □ 3-ci najjaśniejszy; □ 1-szy pons. ciemny, □ 2-gi jaśniejszy, □ 3-ci jeszcze jaśniejszy, □ 4-ty najjaśniejszy, □ tło.

poprzednie ściśle oczka, 6 powietrznych oczek. Przerobić razem 1 ściś. ocz. z następnem i znajdującym się przed zębem ocz., w którym przerobiono 1 ściś. ocz., 10 pow. ocz., 1 ściś. oczko w ząb po drugim brzegu pletni, znajdującym się pomiędzy 2 słup. robotę odwrócić i od * powtórzyć. — 2 kolej: Po jednej stronie tejsze wstawki * 1 słup. w 1 jeszcze wolny ząbek, 7 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w następ. ząb, 7 pow. ocz. 1 sł. w nast. ząb, 7 pow. o., od * powtórzyć. — 3 kolej: ciągle naprzemian: 1 słup. w 2 z rzędu ocz. poprzedniej kolej, 1 pow. ocz. Po wykonaniu na drugiej stronie 2 podobnych kolej, wykonać wstawkę drugiego deseni jak następuje: — 1 kolej: ciągle naprzemian: 1 ściś. ocz. przerabiać razem ząb i drugiej pletni 6 pow. ocz. — 2 i 3 kolej tak samo, przybrawszy drugą pletnię (prawa str. tejsze 3 kolej przedstawia stronę odwr. wstawki) i wstawkę z obydwóch stron otoczyć jeszcze jedną koleją z prawej strony. na co ciągle 1 ściś. ocz. w następ. ząb, 6 pow. oczek. Na fartuszek potrzeba 5 wstawek 60 cent. dług. pierwszego deseni a 4 drugiego, łączyć takowe ścięciem obrzucanym po odwrotnej stronie. Otoczyć szlakiem 2-go deseni a dolny brzeg oprócz tego szlakiem 1 deseni. Górny brzeg przesyć 3 razy w fałdy w równych odstępach na 19 cent. szer. i wszyć w pasek z czarnej jedwabnej wstążki, wiązanej w tylnej części na kokardę.

Czepeczek wieczorowy dla starszej osoby.

Rycina Nr 17.

Wykonać karczek z petynетки 19 centim. dług., szerokości zaś w przedniej części 5 cent. a po bokach 2 cent. otoczyć drucikiem i wstążeczką, następnie koronką 5 cent. szer. ułożoną wężykowato. Wstążka jedwabna koloru lila wykończy całość podług ryc.

Wachlarze balowe i przybrania z kwiatów.

Rycina Nr 11—16 w Bl. Nr 52.

Wachlarz w stylu „rokoko“ z kości słoniowej nakładanej złotem. Malowidło na białej jedwabnej gazie w rodzaju „Watteau“.

Wachlarz z brązowego rzeźbionego drzewa. Malowidło na białej jedwabnej krepie, zakończonej rzędem pikotów.

Wachlarz w stylu „Empire“ z czarnego drzewa nakładanego stałą niebieską. Materiał czarny jedwabny, ozdobiony aplikacją z czarnej koronki i ozdobiony blaszkami metalowymi.

Wachlarz złożony z drzewa lakierowanego na kolor różowy. Gaza jedwabna koloru białego. Malowidło „à la Watteau“ amorki wśród zieleni i niezapominajek.

Strój balowy z kwiatów „boules de neige“ (śnieżka), złożony z trzech pojedynczych gałązek, przewiązanych wstążką zielonego koloru, największy z nich do paska.

Strój balowy z kwiatów dla młodej panienki, złożony z 4-ch bukietów, z pączków i drobnych różyczek przewiązanych jedwabną wstążką.

Szalik koronkowy.

Rycina Nr 34 i 41 w Bl. Nr 52.

Część tiulu czarnego 112 cent. dług. przewleka na podług ryc. Nr 41 rozmaitej grubości czarnym kordonkiem. Brzeg zewnętrzny otoczony ścięciem dzierganym. Deseń należy przenieść na ceratkę podłożoną pod tiul i na tem wykonywać przewlekanie.

Rycina Nr 41 przedstawia część naturalnej wielkości.

Schodki pokojowe z pokrowcem haftowanym.

Rycina Nr 37, 39 i 40 w Bl. Nr 52.

Schodek z drzewa orzechowego politurowanego, pokrycie stanowią dwa szlaki koloru „terrakota“

14 cent. szer. a 42 cent. dług. z tkaniny „aida“ z brzegami przetykanymi złotem.

Rycina Nr 39 przedstawia szlak wykonany przedzą wełnianą filozelą i japońską złotą nitką, ścięciem krzyżowym i płaskim. Figury wykonać częścią ścięciem Holbejn'a japońską złotą nitką i otoczyć przedzą koloru kawowego. Dolny brzeg otoczony galonem koloru piaskowego i bombelkami różnokolorowymi jedwabnymi. Zaopatrzyć podszewką z atlasu koloru brązowego i przymocować brązowymi guzikami do schodków.

Przepisy gospodarskie.

Mak wiercony do przełożenia strucli.

Bardzo wiele osób nie wie, jak sobie radzić przy wierceniu maku. Podaję więc najlepszy sposób.

Robiąc lukier przezroczysty do polewania ciasta w czasie gotowania syropu wlać łyżkę mocnego octu na 2 funty cukru, robiąc dalej jak w przepisie (patrz „Jedynie praktyczne przepisy“ wydanie 14). Gdy się za bardzo ugotuje, wstawić szybko rondel w zimną wodę, a gdy trochę wystygnie dopiero wlać na salaterkę.

Doświadczenia praktyczne

Do rozbijania naleśników lub tym podobnych rzadkich płynów, jak sosy i t. p., najlepiej używać motelka zrobionego z gałęzi sosnowej, mając takie motelko można wlać w garnuszek mleko, jaja, a następnie mąkę tak się wybornie rozbije, że ani śladu nie zostanie mąki, co przy zwykłym rozbijaniu łyżką częstokroć ma miejsce.

Korespondencya.

Odp. stałej wielbicielce autorki
365 obiadów.

Uszy u śledzia zowią się twardawe części otaczające oczy, które leżąc na wierzchu i nie łącząc się z mięsem bardzo łatwo podnieść i oberwać, a śledź ładniej wygląda.

Odp. Jemioł... i Jastrz...

Proszę się zgłosić natychmiast na ulicę Królewską Nr 3 m. 8.

U w a g a.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tabliczki, odnoszące się do wzorów w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mających.

L. C.

Nr 23. Ubranie dla chłopczyka od 6—8 lat.
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 39—45).

Nr 24. Suknia z bluzką haftowaną i kaftanikiem dla panienki od 6—8 lat (do ryc. Nr 4 i 12). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 27—32.

Kwartę maku namoczyć na noc w zimnej źródłanej wodzie, potem wylać na sito do osączenia, dalej sparzyć na misce trzy razy wrzącą wodą, za każdą razą wyrzucając na sito, aby woda osiąkla. Dalej włożyć w donicę, wlać dwie łyżki ciepłej śmietanki, pół funta mialkiego cukru, cztery gorzkie migdały utłuczone, skórki cytrynowej otartej z pół cytryny, wiereć dobrą godzinę, w końcu wbić 5 lub 6 jaj, jeszcze wiereć i kłaść albo na wierzeh placaka wyrosniętego bez smarowania jajkiem, a dopiero na mak posmarować i posypać cukrem. Lub też co lepiej jeszcze przekładać placek, albo smarować rozwałkowane ciasto na struclę do zawijania.